



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rekopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka:* Chwilowe otrzeźwienie. — Apoteoza Jezuitów. — Nowe prawa II, p. J. P. — Tydzień polityczny. — *Powiadki:* Stara miłość przez C. del Negro. — *Żyćie społeczne:* Z Niemiec p. J. J. Karłowicza. — *Bardania naukowa:* Psychologiczne podstawy religii II, p. J. K. Polockiego. — *Literatura i sztuka:* Jan Łam II. — Stanisław Dobrzański p. H. B. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widokokręgu p. Nieborskiego. — Kronika bieżąca. — Ofary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

CHWILOWE OTRZEŻWIENIE.

Co uradzono w Kissingen i Gastein — nie wiadomo i rozum śmiertelnych daremnie siłłby się na uchylenie zastłony tych tajemnic. Natomiast aż nadto wyraźnie wiadomo, że oba te zjazdy nieprzejrzalnie dotknęły prasę rosyjską, która w guświe na niemość zapominała nawet o tej niechęci, o której nigdy nie zapomina — do Polaków. Usuwając z pod tej uwagi pisma poważne, które w każdym położeniu i w każdym stosunku starają się zachować rozum i godność, wyznajemy, że dawno już nie słyszeliśmy tak rozsądnej i logicznej mowy dzienników rosyjskich. Dochodzą one do wniosków, od których zwykle uciekały daleko, godzą się na takie wywody, które przedtem służyły im tylko za przedmiot złośliwych uśmiechów. I jeżeli — według przysłowia — „gniew jest złym doradcą”, to w obecnym wypadku okazał on się dziwnie dobrym i szlachetnym.

Ile razy prasa polska w sporach z rosyjską podnosiła kasztany, które z ognia nadwislńskiego wyciągają niemiecy, zawsze stąszyla z przeciwniej strony odprawę: daremne strachy, których się nie boimy; napływ niemiecki przynosi nam pierwsiastki cywilizacyjne i wierną służbę, której w miejscowym zaludnieniu nie znajdujemy. Daremnie oprowadzono głosicieli tej zasady po zachodnich kresach Królestwa, zalanych germanizacją, daremnie wskazywano ołbrzymie jej ogniska przemysłowe, daremnie „wykrzywano różnych zagadkowych „dzierżawców” przepraw, daremnie wysłędzono „podwójne poddaństwo” — wszystko to nie nie pomagało i nie miało wagi przekonujących dowodów. Nawet

wygnania pruskie, które bądź co bądź, po są swem okrucieństwem, posuwały dalej ku wschodowi napór niemiecki, również nie zdołały otworzyć oczu, zamkniętych czy oślepionych na widoki przyszłości. Tężejność całkiem pochłonięta tych polityków, którzy odrzucali się, hipnotyzowali i upadali jej lichoego gatunku narkotykami. Niemiec w kolumnach wielu gazet rosyjskich przechadzał się ciągle pod rękę ze słowianościem, jako jego przyjaciel, spółnik, sprzymierzeniec, wychwalany, całowany, sławiony. W tych chwalebach i umiżgach było dużo udania „na złość” tym, którym nie przebaczone niemiego i bezwzględne trwania i którzy na uwienionej głowie rzekomego przyjaciela dostrzegali rogi a na miękkich palcach pazury, ale z niemięconą przekornością twierdzeniem polskim snuł się ten polityczny roman, jako małżeńskie z rozumem. Z czasem kłamiący miłość uwierzyli we własne swoje kłamstwo, mniemając, że istotnie kochają tych, dla których uczucia rozdmuchiwali obłąd. Nareszcie szybkim obrotem rzeczy następują dwie narady: ministrów w Kissingen i monarchów w Gastein. Nagle wszystkie łuski i bielsza spadły z oczu prasy rosyjskiej, która ujrzała niemości, jakim on jest — samolubnym i o swoją sąsiadkę mało dbającym. Wobec tego nieuniknionego rozczarowania wypłynęły na wierzch długo topione w nienawiści plamiennej szkody, pokryły się czarna barwą zabory ekonomiczne i wszystkie „usługi” ewilizacyjne, jakie niemiecy na polskiej skórze Rosji wyświadczyli. W poprzednich numerach *Prawdy* przytoczyliśmy objawy tego otrzeźwienia, różne głosy dzienników petersburskich, obliczających smutny rezultat przyjaźni sąsiadkiej. Szczegółowo nad każdym z nich zastanawiać się nie będziemy i nie moglibyśmy, zapisujemy tylko ogólnie ten zwrot, który miałby donosić wartość, gdyby, niestety,

nie był chwilowym napadem złego humoru.

Grażdanin między wieloma słusznymi zrobił jedną najekscytującą uwagę, że polityka rosyjska zbyt już długo chodzi na pasku niemieckim i że powinna się od niego wyzwoleć. Ale nie tylko polityka pozostaje w tej zależności, może jeszcze daleko większą zdradza opinią. Jest to faktem zdumiewającym, że dziennikarstwo rosyjskie, zimi aż do samarżniczą uczuć, krytycyzmi aż do srogosci w poglądach swoich, na pewne sprawy polityczne patrzy ciągle przez okulary niemieckie. Niech z Berlina apadnie grąś płow, z pewnością w Petersburgu zbiegnie się do nich stado wroblów. Sofistyką najposledniejszego gatunku, ażyki gadzinowe, mizerne wykryty i zachwałę szysterstwa z najprostszych zasad moralności, ukute w mennicy kanclerskiej, przyjmowane są przez część prasy rosyjskiej za dobrą monetę. Dla Bismarka zbłąkanie tej opinii jest niezmiernie pożądanym, tumanił on ją bezpośrednio i pośrednio wszelkimi sposobami a ona tego wcale nie spostrzegła. Rzecz można, że ten kąt widzenia, pod jakim spogląda na Polaków, jest tworem czysto niemieckim. Nieraz zdaje się, że wymierzone przeciw nam artykuły gazet petersburskich są tylko przekładami z berlińskich. Nawet nieważne ich ma cechy niemieckie, obcepolienne. Po ogłoszeniu rozkazów przesładowczych o narodowości polskiej, a więc słowiańskiej w Prusach, jedna z gazet rosyjskich, a więc słowiańska, która dzień wypiera się sympatyi dla germanizmu, pisała: „Ks. Bismark miał prawo użyć tego środka radykalnego, który narobił tyle wzrwy... Przyjemne stosunki między obydwojoma cesarzami wykazują wszelką możliwość nawet przypuszczenia, aby nas chciało obrócić w sposób, wymagający represaliów... Naturalnie, gazeta odradza wszelki odwet. W słowach tych widzimy

APOTEOZA JEZUITÓW.

nie tylko niezyczliwość dla Polaków, ale także bałwochwalstwo dla Niemców. *Grazdanin*, mówiąc o „zapchnięciu” Rosji — trafił w sedno. Dziś dzienniki rosyjskie, przebudziwszy się na chwilę z tego snu hipnotycznego, oskarżają swoją politykę, to jest dyplomację i ministrów, ale zapominają o tem, że one również wpływały na tę politykę, że one wytworzyły opinie, że one podtrzymały wiarę w przyjaźń i mądrość niemiecką. Jeżeli tu uznamy winę, to mniej ona spada na dyplomację, niż na prasę, która lekkomyślnie łapała się na lep zdradziecki i służyła cudzym bogom. Dziś ona przestała się śmiać ironicznie i widzi niebezpieczeństwo własne tam, gdzie dotąd widziała korzyści. Dziś wola, zdychawszy gromadkę oficerów pruskich, uczących się języka rosyjskiego pod Moskwą: „Oły system szpiegowstwa i tajemnych związków urządził Niemcy w Rosji, co im tem łatwiej przychodzi, że pod osłoną tolerancji wyznań luterstwo zakorzeniło się nie tylko we wszystkich prawych miastach Rosji, ale co więcej szczególnie i wprost w samym jej sercu — w Moskwie.” Tak wola dziś, po zjazdach ministrów i cesarzów niemieckich, ale czy to samo powtórzy za rok, za dwa lata, politykując na temat spraw polskich? Wątpimy — i to jest klęska, równie szkodziła dla naszego kraju jak i dla całego państwa. Zanim dyplomacja wejdzie na inną drogę, zanim do jakiegoś ładu doprowadzony zostanie spór narodowościowy, przedewszystkiem prasa rosyjska powinna wyzłodzić się z pod czarnej i wpływu niemieckiego, otrzeźwić się z hipnotyzmu, którego zabójcze skutki teraz sama uznaje. Pisma polskie od lat wielu zgodnie twierdzą, że ten paraliż od strony zachodniej nie tylko nas zabija, ale również niszczy Rosję, że musi ona z niego co prędzej się wyrwać. Tę samą naukę z doświadczeń wyciągają obecnie jej dzienniki — oby nie na krótko. Tradycje Pogodinów, Samarynow, Chomiakowów i in. powinny odejść pod postacią słowniactwa czystego, niezaprawionego gormańskim wtrytolejem.

Przez pierwsze lata rządów Leona XIII ludzono się powszechnie przekonaniem, że nowy papież, który wstąpił na stolicę apostoła w warunkach bardzo trudnych, jako „wizien,” będzie spokojnym białym łabędziem z podcięciem skrzydłami. Powoli wszakże ów biały łabędź zaczął przybierać barwę czarną i zdradzać naspobienie na wojownicze; kropał kuli białe i onykilk energicznych, najęzł się przeciw kilku rządom, potępił nowsze zdobycze myśli ludzkiej — słowem okazał, że nie myśli być Niemym świadkiem biegu wypadków. Do śmielszej jednak działalności brakło mu mocnego ramienia świeckiego. I znalazł je właśnie tam, gdzie się takiej dla niego opory wcale nie spodziewano — w ks. Bismarcku. Kancelarz poddaniem sporu z Hiszpanią o wyspy Karolińskie pod sąd papieża i znacznemi ustępstwami w pruskich prawach majowych, ograniczających duchowieństwo katolickie, osmielił Leona XIII, który wstąpił już nie jako trwożliwy obrońca kościoła, ale jako władca, mający swoją własną politykę. Nie zawahał on się w tem sojuszu ani obrazić uczuć dwunastomilionowego narodu, który należał do jego owczarni, ani wyzwać do walki potężnych państw — jak Francja — okłótych względę dotąd dość wielce. Jak wszyscy możni tego świata zaczął on krążyć około słona niemieckiego i podtrzymywał przez ten wytworzył sobie własny systemat i własnych satelitów. Dziś już obiega drogą nakreśloną mu przez Bismarcka, bo na niej rozwinąć może się przyciągania.

Pomiędzy przysławskimi katolicyzmu żadna nie obudziła tyle odrazy i nienawiści, co jezuityzm. Nawet w narodach najkorniejszych i najposłuszniejszych papieżu — jak polacy — nie zdołał on uratować dla siebie ani szacunku, ani popłaźnia, i bula Klementesa, znosząca ten zakon, wspomnianą jest przez prawowiernych naszych pisarzy (Krzyżanowski), jako dobrodziejstwo. Wstręt do ogarnął wszystkie społeczeństwa europejskie, które w nim pozostały mimo przeciwnych usiłowań nowoczesnego ultramontanizmu. I oto Leon XIII, na przekór tym uczuciom, uznał za stosowne teraz na nowo pobłogosławić przekłętą pracę jezuitów, ukoronował Towarzystwo Jezusowe uroczystością i potwierdził wszystkie jego przywileje. W świecie wydanem *brevé* mówi on pomiędzy innemi że:

„Dla okazania naszej miłości do Towarzystwa Jezusowego, potwierdzamy mocą naszej apostołkiej wszechwładzy i ponownie niniejszym poręczamy listy apostołskie, wszystkie ogółem i każdy z osobna, które miały za przedmiot założenie i umocnienie Towarzystwa... Potwierdzamy i poręczamy na nowo wszystko, co one zawierają, jako też przywileje, wyłączenia, indulty, wszystko, co Towarzystwu przyznano bądź bezpośrednio, bądź łącznie z innymi... Rozporządzamy, ażeby hrove to i w przyszłości miało swoją ważność i skuteczność. Chcemy, ażeby ono zachowało całą swą siłę i przynosiło wszelkie korzyści tym, których dotyczy lub dotyczyło może, niezależnie od brewe Klementesa XIV z 22 lipca 1773 i kilku innych przeciwnych aktów, które wymagały wzmiarku oraz osobnego i wyraźnego znieślenia. Znosimy je tedy osobno i wyraźnie.”

Tak więc rozumna i uczciwa reforma Klementesa XIV po stu przeszło latach została przez Leona XIII przemazana i unieważniona. Na co zdobył się wiek XVIII, to jeszcze wydaje się zbyt radykalnym XIX-mu. Wymowny znak czasu. O niego głównie chodzi. W obecnych warunkach jezuici nie mogą być już tak szkodliwi, jak byli dawniej, ale uroczyste wtrącenie ich chwały przekonywa, do jakiego stopnia cienie reakcji rozparły się nad Europą, kiedy nieopatrnie i puszczyli wybiegają ze swych dziupli tak odważnie i taką gromadą.

Zaszczaćnając zwięzienie się pola działalności dla Towarzystwa Jezusowego w obecnej dobie, nielekceważymy szkód, jakie ono społeczeństwom wyrządza może wszędzie, gdzie posiada zabezpieczoną swobodę. Wiadomo, co ono robi dotąd w Belgii. Z ziem polskich tylko Galicja wystawiona jest na łup tych lisów. Ale wąpimy, czy tam one jeszcze wiele udnisć mogą, gdy prawie wszystko podusiły. Będą tylko śmiejeł ogryzad kości.

Byłoby to wypadkiem bardzo naturalnym, gdyby Leon XIII swoim bezwzględem postępowaniem wywołał nowe rokose i nowe odszczepienstwa w katolicyzmie. Za zbyt on pusał z uwagi dobro i potrzeby swych poddanych i za zbyt zaczął dbać wyłącznie o umocnienie swego tronu i dyplomatyzywa. Owce są cierpliwie, ale to są owce nowoczesne. Można dziś powtórzyć się na Pawła III, ale jego czasów już wskrzesić nie można.

1)

POWIEŚĆ.

STARA MIŁOŚĆ

przez

C. del Negro.

Kardynał Beni siedział przy biurku bezczyny i smutny. Przez nawpół przezroczyste szaby okien, do połowy przesłoniętych brokatem, skąpe tło światła ładnego dnia zimowego weiskało się do wysokości sali, napelnionej lodowatą chłodem powietrzem. Na środku jej stał wprawdzie duży piec mosiężny, a w nim wdziałas kupkę żarzących się węgli, ale ciepło ich tylko w najbliższem sąsiedztwie dawało się uczuwać. To też znużonemu człowiekowi z za biurka zdawało się, że zmarznie. Weiskał się zniechęceni w głąb fotela, od czasu do czasu dotykając ręką głowy, jak gdyby dla przekonania się, czy się nie zasnuła stamtąd czerwona jego oszepekka. Po-

cierał dłońmi o rękawy swej księgiej sukni ozworzonej, nakonieć podniósł się i, wyprostowawszy zasępywiałe członki, podszedł do pieca, którego żar zaczął już się powlekać popiołem. Gdy przystanął tam, trzymając ręce nad żarzewiem, zaledwie się jeszcze tłęjącem, zaczął z boleśnią zaciętności ustami rozmyślać o czasach dawno ubiegłych, o wielkiej miłości, którą był nabrał, a której, gwoli swej niepomowanej żądzy dosięgnięcia, nakazał milczenie. Jako inaczey stało się wszystko, niż był przypuszczał! Dosięgniął wprawdzie upragnionych wyżyn, lecz jakie znużony i jak mało zadowalniająca była ową świętność, choć dla niej wyrzucił się szczęścia, którego brak wszyscy wcześniej lub później odczuwają boleśnie. Jakże nieskończoności są godziny samotności.

Głuchy turkot wjeżdżającego w bramę powozu wyrwał księcia kościoła ze smutnych rozmyślań. Stary sługa, wszedłszy, oznajmił, iż jego eminyncyja kardynał Ornatelli czeka w karciecie na dolo.

Kardynał Beni ruszył na spotkanie gościa, na którego oczekiwał na najwyższej kondygnacyi schodów.

Powolnym krokiem — odpowiednio godności swjej i wiekowi (przybywający tak

samo, jak i Beni miał lat siedemdziesiąt sześć) postępował kardynał Ornatelli, za nim szedł jego caudator (paż).

Gdy wreszcie wazeli na nagrę, objali się, zamieniliwszy ze sobą zwykłe pozdrowienie, poszli, do pokoju, który przed chwilą opuścił Beni; caudator pozostał w poczekalni.

Znalazłszy się sam na sam uściśnili sobie ręce z pewną ponaślnością. Gdy usiedli, natychmiast zaczął Ornatelli wyłuszczać powód swoich odwiedzin. Chodziło o pewne poufne posłannictwo jego świętobliwości. Zamierzano znieśnienie klasztorów nastrożać wiele nudnych powłok. Jakkolwiek z Watykanu wyszedł był rozkaz, aby członkowie zakonów w milczeniu i z godnością poddali się losowi, to przełożone niektórych klasztorów powzięły zamiar opierania się owemu wyrokowi. Jedną zwłaszcza z pomiędzy nich była szczególnie uparta i właśnie eminyncyja, kardynał Beni miał ją przywieść do upamiętnienia. Jego świętobliwość wybrała go w tym celu.

Beni, zgadzając się na posłannictwo, zapytał: kto była ową oporna.

— Przełożona klasztoru św. Katarzyny — odpowiedział kardynał Ornatelli, przechylając się na bok.

NOWE PRAWA.

II.

W ciągu lat kilku zaprowadzania i opracowywania ustawo o robotnikach wiejskich, czyli dostownie o najmie do robót wiejskich składa się z dwóch części. Pierwsza część zawiera zmiany i uzupełnienia kodeksów karnego i cywilnego, druga — właściwą ustawę. Nowo wydane przepisy obowiązują w całym państwie, z wyjątkiem gub. archangielskiej i astrachańskiej, a więc i w Królestwie, chociaż w praktycznym ich zastosowaniu wymaga zapewne będą u nas zmian pewnych, ponieważ niektóre paragrafy stoją w sprzeczności z zasadami obowiązującego u nas prawa cywilnego i przepisów administracyjnych. Pospieszam dodać, że sprzeczności nie posiada reszta wielkiej wagi.

Ważniejsze zmiany w pierwszej części polegają: § 2, na ustanowieniu kary od 2 do 4 miesięcy więzienia za sprzedanie fałszywego kontraktu lub za zmianą prawdziwego. § 3, za umyślne zatrzymanie kontraktu, za zmuszenie robotnika do przyjmowania zapłaty w produktach spożywczych lub towarach, wszędzie za świadome kontraktowanie robotnika, związanego umową z innym pracodawcą — winni podlegają karze pieniężnej do 100 rs. lub aresztowi (w trzech wypadkach) do 3 miesięcy. Za grubiaństwo względem pracodawcy, za rożnolodne uszkodzenie skomplikowanych maszyn, za niestawienie się do roboty lub samowolne opuszczenie jej — robotnik podlega karze aresztu do 1 miesiąca lub (w drugim przypadku) do trzech miesięcy. Taką samą odpowiedzialność grozi za pobranie zadatku od kilku osób. Dochodzenie sądowe za te wykroczenia, z wyjątkiem pierwszego — prowadzania się po upływie miesiąca. Sprawy tego rodzaju umarzają się przez pojednanie. Wszelkie powództwa w sprawach, wypływających z umów o najmie robotników wiejskich, winny być również wytaczane w ciągu miesiąca. Wykroczenia przeciw ustawie meldują się policyi, która spisuje protokół przy udziale obu stron. Wyroki w sprawach, wypływających z kontraktu o najem robotników, podlegają egzekucji tymczasowej.

Dla oceny tych zmian dodać musimy, że kara za naruszenie umowy istnieje wtedy tylko, jeżeli ta umowa zawarta została piśmiennie, w przepisanej formie aktu umownego (dogoworny list). Kara za złama-

nie umowy cywilnej stosowaną być może wtedy tylko, jeżeli czyn ten dokonany był ze złą wolą; zasadę że sądy powinny brać pod uwagę przy wyrokowaniu, inaczej bowiem nowe prawo doprowadziło by mogło do nadużyć, zwłaszcza, że w tym względzie właśnie jest ono zredagowaniem niejasno.

Przepisy o najmie dotyczą nie tylko robotników wiejskich lecz i służby gospodarzów, nie stosują się jednak do osób zarządzających gospodarstwem (razdóch, ekonomów itp.). Umowę zawierając może właściciel majątku lub osoba przezeń upoważniona; z prawa tego korzysta zarządzający majątkiem, chociażby nie miał pełnomocnictwa szczegółowego i formalnego. Rodzice nie mogą oddawać do służby dzieci małoletnich, jeżeli to nie zgadzają się dobrowolnie; dzieci nieletnie i młodzaki, jeżeli nie posiadają oddzielnych paszportów, nie mają znowu prawa najmować się do roboty bez zezwolenia rodziców lub mężów.

Umowy o najem mogą być ustne i piśmienne, te ostatnie prywatne lub notaryalne. Osoby pragnące korzystać z pewnych prerogatyw, służących obu stronom, winny zawierać umowę w formie aktu umownego, według przepisanego szematu. Pewna część prasy rosyjskiej pragnęła nadać tym aktom znaczenie książeczek robotniczych, ale prawodawca nie przychylił się do tych zamiarów, owszem ustawa zabrania nawet oznaczania w akcie umownym przyczyn zerwania i ma za sobą zupełną słuszność, inaczej bowiem równoprawienie stron obu byłoby naruszeniem. Wątpić resztą można, czy akty umowne znajdują szerokie zastosowanie, gdyż pociągają one za sobą wiele formalności, jak np. poświadczenie urzędowe.

Ozas trwania umów terminowych nie powinien przewyższać lat pięciu, ale robotnik może oddalić się po upływie roku, być tylko na dwa miesiące przedtem zawiadomić pracodawcę. Umowy bezterminowe muszą być wypowiedziane na dwa tygodnie, pracodawca może zwolnić robotnika bez poprzedniego zawiadomienia, jeżeli zapłaci mu dodatkowo za dwa tygodnie czasu. Placa powinna być z góry określona i wypłacona w oznaczonym terminie. Nie wolno wnieść do umów warunków, mających na celu ograniczenie dla którejkolwiek strony prawa dochodzenia sądowego swych pretensyj, ani oświadczeń, że robotnik poddaje się dobrowolnie karom pieniężnym, wyznaczonym przez pracodawcę.

Wzajemne obowiązki stron prawo określa w ogólnych tylko wyrazach, inaczej zresztą trudno to uczynić. Dopiero następnie rozdzielno o wykonaniu i rozwiązaniu umów zawierają dokładne przepisy. Prawa i obowiązki pracodawcy przechodzą na osoby upoważnione przezeń do zarządu majątkiem, ale odpowiedzialność majątkowa w każdym razie pada tylko na samego gospodarza. W razie nie dopełnienia wypłaty w terminie, robotnik ma prawo żądać ½ dopłaty za każdy dzień spóźnienia.

Nowe prawo ustanawia również wynagrodzenie robotnika lub pozostałej po nim rodziny w razie nieszczęśliwego wypadku. Rozmiar tego wynagrodzenia zależy od dobrowolnej umowy stron lub określa się przez właściwy sąd. Robotnicy fabryczni cieszą się w tych samych okolicznościach większą względnością prawa, aniżeli wiejscy, ci ostatni bowiem otrzymują wynagrodzenie wtedy tylko, jeżeli wypadek nastąpił z winy pracodawcy, czego zawsze trudno bardzo dowiedzieć.

Robotnik może nie stawić się w terminie lub nawet rozwiązać zupełnie umowę, jeżeli dowiedzie niemożliwości jej wykonania. Prawo wyłącza to przeszłość; tu zaznaczymy tylko, że jedną z nich jest śmierć lub ciężka choroba męża, żony, dzieci lub głowy rodziny.

Pracodawca może wytrącać robotnikom pewną część płacy za niedbalstwo, świętowanie, nieposłuszeństwo i uszkodzenie narzędzi gospodarskich. Wytrącana suma za świętowanie nie powinna przewyższać połowiny płacy, jaka przypadała robotnikowi za ten czas. W innych zaś wypadkach kara nie może przenosić połowiny płacy dziennej. W dalszym ciągu znajdujemy paragraf, nie liczący z charakterem całej ustawy, pragnącej zapewnić obu stronom mniej więcej jednakowe prawa. Oto robotnikowi, który podał do sądu skargę na pracodawcę, jeżeli sprawę przegra, czas potrzebny na prowadzenie jej liczy się jako dzień opuszczenia (progu); pracodawca więc może mu wytrącić z pensji połowinę płacy.

Jeżeli robotnik poruści swe zajęcie, pracodawca może poszukiwać na nim sądowo winę strat, w sumie jednak nie przewyższającej płacy trzymiesięcznej. Do takiego samego wynagrodzenia ma prawo robotnik, jeżeli wydalono go niesłusznie.

Barzo szczegółowo oznaczono są powody do rozwiązania umów. Pracodawca może oddalić robotnika za: 1) niedbalstwo, lenistwo i nieposłuszeństwo, 2) pijaństwo lub zachowanie się brutalnie względem go-

Boni natychmiast zmienił ton mowy.
— Ornatełli — powiedział on — doksiennik klasztoru św. Katarzyny ja iść nie mogę.

— Diacze, wszak jest waszą ciotką, Beni, czyż nie? — zapytał Ornatełli — rzucając badawcze spojrzenie.

— Zapewne, zapewne, ale... ale... nie wypada, naprawdę nie wypada. Wściele na siebie ten ciężar, kochany Ornatełli. Wy nie macie żadnej zasady uniknąć spotkania się z przełożoną klasztoru św. Katarzyny.

— Tak sądzicie? — spytał znowu tamten, tonem niezwykłym.

Zdziwiony tem gospodarz spojrzął na swego gościa, ale nie mógł już dojrzeć w nim nic szczególnego. Ornatełli uważnie zajęty był pilnem oglądaniem paznokci swych rąk białych i utrzymanych w starannie. Zaraz też dodał:

— Zresztą znam, jak sądzę, powód powstrzymujący was od zobaczenia się z siostrą Klarą. Czy nie była ona przyczyną tego, żeście żył w was na służbę kościoła poświęcił? Z ręką na sercu, Beni, czy nie było tam niepodzielnej miłości?

Zagadnięciu potrząsnął głową, wpatrując się w ziemię.

— O, nie ukrywajcie się z tem — zawołał Ornatełli żartobliwie, i wysięc należało do zastępa tych, którzy naprosto dobijali się o piękną kobietę. Jak upajająco pachniały magnolie brabaskiego ogrodu, tak prawda jest, iż nie myliły mi zmysły, gdyś przejmował wasze płomienne spojrzenie, któreście przesyłały hrabiance. Myśmy wszyscy zgadywali tajemnicę waszego serca, nieszczęśliwego, tylko błodna i dumna hrabianka nie dostrzegała waszych cichych westchnień lub adawała może, że ich nie dostrzega.

— Było tam udawanie, kochany Ornatełli, wyrafinowane udawanie — odparł kardynał Beni. Wszak ofiarowała mi ona swoją miłość już w początkach owego piątnego lata, kiedyśmy to co wieczór wspaniali się na góry Tivoli, aby tam z Klarą i jej towarzyszkami używać przedchadzki w sławnym ogrodzie magnoliowym.

Kardynał Beni tak głęboko był pogrążony we wspomnieniu przeszłości, iż nie potrzęcił, jak wielkie wrażenie mowa jego zrobiła na Ornatełliem. Oblizną swego starca wyrażało gorzkie zdziwienie. Sam on kochał piękną hrabiankę i kochał ją tak zapamiętale, iż gdy żoną jego było nie zochłania, wyrzekł, się wszystkiego, nawet

świata i z rozpoczął wstąpić do zawodu kapłańskiego. Powiedziała mu niedgdy, może dla oświecenia odmowy, że wogóle kochać nie jest zdolna. Odkrycie obecnę, że Klara odrzuciła go przez miłość dla kogo innego, zbawiło i przez duszy cały tłum wspomnień o owych, od lat już przeszło pięćdziesięciu minionych dniach, kiedy kochał i cierpiał w ogrodzie magnoliowym. Nie wyrzekł jednak ani słowa. Westchnąwszy, przesłonił rękawicą oczy i w milczeniu pozwolił dalej rozlegać się nad sobą przygnębiającym zwierzeniom sędziwego towarzysza.

— Ojczy pogrążony w ambitnych rojeach — opowiadał Beni — odwróciłem nrazu owe święte zabawy ogrodowe hrabiego, jedynie ulegając życzynom ojca. Po zejściu mojego starszego i jedynego brata, ojciec mój nie innego nie miał na myśli, jak tylko żebym opuszczał zawód duchowny i wniął na siebie wszystkie obowiązki, ciężkie najednym potomku bogatego szlacheckiego domu. Ja wszakże od dzieciństwa o niemoim innem nie myślałem, jak tylko o zostaniu księdzem. Odprawiłem wśród dymu kadzielił masę w jakimś kościele, od małych i dorosłych, od młodych i starych słysząc ciągle tytuł wielbionego, idąc uli-

spodarcza, osób z jego rodziny itp., 3) przywłaszczenie sobie przedmiotów, nawet należących do osób obcych, 4) umyślnie uszkodzenie dobytku pracodawcy, 5) przezwierstwo, 6) nieostrożne obchodzenie się z ogniem, 7) w razie zaraziowej choroby, 8) z powodu samowolnego poruszenia roboty w ciągu więcej niż 3 dni, 9) częstego lub długiego absztu i 10) niezdołności do pracy, do której się najął.

Robotnik może porzucić zajęcie, przedejższy gospodarza: 1) jeżeli warunki dotyczące płacy i utrzymania nie są ściśle wypełnione, 2) jeżeli przeciągają go prace, 3) jeżeli pracodawca, osoby z jego rodziny lub zarządzający gospodarstwem zezwoli go czyścić, 4) jeżeli z powodu choroby (lub robotnicza — z powodu brzemienności) nie może wykonywać powierzonych mu zajęć, 5) w razie nieprzewidzianych okoliczności, zmniejszających do powrotu do domu, 6) jeżeli warunki pracy skłódlą się dla zdrowia, lub 7) w mieszkaniu przeznaczonym dla robotników znajdując się zaraziwie choroby.

Art. 64 zawiera ważny bardzo dodatek: robotnik może rozwiązać umowę, chociażby pozostał winien pracodawcy pewną sumę, jeżeli tylko istnieją warunki określone przez prawo dla rozwiązania kontraktu.

Po rozwiązaniu umowy pracodawca winien natychmiast zwrócić robotnikowi paszport, w przeciwnym bowiem razie za każdy dzień przetrzymania musi mu zapłacić podwójną płacę dzienną, według cen miejscowych, istniejących w danej chwili i oprócz tego podlega odpowiedzialności karnej.

Jeżeli pracodawca przy rozwiązywaniu umowy nie odda robotnikowi należnej im płacy, to sąd ma prawo przysądzić na rzecz tych ostatnich, oprócz należności właściwej, jeszcze specjalnie wynagrodzenie, rozmiar którego nie może jednak przewyższać podwójnej sumy całego długu.

Streściliśmy najważniejsze przepisy głównej części ustawy; dalszy ciąg jej traktuje o szczegółach formalnych, których w skróceniu podawać nam żadnej racy. Czytelnicy, którzy zechcą dokładnie zapoznać się z przepisami formalnymi, muszą przeczytać ustawę całościowo, podały ją już zresztą pisma codzienne.

J. P.

ca — pozwalając owieczkom moim odzwiedniać mnie po rękach, oto los, który mnie, dziecku jeszcze, wydawał się godnym najwyższej zadrześci. Z biegiem czasu wczesnie rozbudzona dusza zmieniła się na niepomierną żądzę zaszczepić. W wieku, w którym młodzieńcy myślą tylko o kobietach, zabawach i przyjemnościach, jam się poświęcił naukom, marząc jedynie o tem, aby się wynieść wysoko i odegrać jakąś ważną rolę. Tylko w zawładnięciu duchownym mogłem urzeczywistnić moje ambitne rojenia: to też niezmiernie niepożądany mi były dla mnie zamiary mego ojca, który jako z jedynego syna uczynił ze mnie chłopa krwawiciela swego rodu. Być nieznanym ślepiuchem, być tak, jak mali brabrowie mego imienia, być sławą i rozgłosu — wydawało mi się niegodnem ambitnego owczka. Ale i ochłodem mego ojca, ten zaś prosił mnie, abym choć spróbował światowych przyjemności i towarzysztatw; inaczej — byłbym całe życie przeżył jak samotnik; czego się nie ekskuzuje, tego się nie posiada. Obiecałem ojcu zastosować się do jego woli, ale półroczna próba nie dała pożądaných owoców: nie nie zdołało zachwycić mnie za obranem stanowisku. Żadna ta nie opuściła mi nawet wówczas, gdy

Po chwilowym ożywieniu, jakie przynosił zjazd w Gasteinie, w dziedzinie polityki teraz cisza taka, że dzienniki rozdziają się obszernie nad poselsstwem markkańskim, które przybyło do Berlina, lub nad nieporozumieniem, jakie między nami, między papieżem i Francją, z powodu tego, że Leon XIII. mianował w Chinach unguysza, kiedy dotychczas obrona katolików w tym kraju należała do pła francuskiego. Nawet wielki meeting robotników w Brukseli zawiódł oczekiwania dziennikarskie, odbył się bowiem spokojnie, chociaż przyjmowało w nim udział 25,000 ludzi.

Najważniejszą wiadomością z ubiegłego tygodnia jest oświadczenie komisarza tureckiego, wyznaczonych do obrad nad rewizją statutu organicznego Rumelii. Po wtórnie i stanowiąco oznajmił on, że sprawa cała rozpatrywana będzie tylko na podstawie protokołu moarat, które przyjęły udział w t. z. konferencji, tj. mniej więcej na podstawie traktatu berlińskiego. Nie może być przeto mowy ani o zjednoczeniu całkowitem, ani o zgrupowaniu wspólnem dla obu krajów, Rumelia pozostać winna nadal prowincją turecką, sprawiedliwość wymierzana być musi imieniem sułtana, na granicy tureckiej nie mogą być pobierane cła bulgarskie. Komisarz bulgarski oświadczył znów, że podstaw tych przyjań nie mają prawa i posiadzenia komisji zawieszono. Zmiana usposobienia Porty stoi, jak utrzymują, w związku z powrotem do Konstantynopola posła rosyjskiego p. Nelidowa, który wręczył sułtanowi własnoręczny list Cesarza. Przyjęcie posła było bardzo serdeczne i nazajutrz statki torpiloze rosyjskie, które czekały u wejścia do Dardanellów, otrzymały pozwolenie przepłynąć cięsnąją dła połączenia się z flotą czarnomorską.

Cesarz austriacki ogłosił list do Tasy; w piśmie tem widocznem jest staranie uspokojenia drażliwości węgierskiej, chociaż ten jego jest niby to groźny i stanowczy. Bądź co bądź, list daje wyjaśnienie, że zmiany w wojsku dokonane były ze względów służbowych, tłumaczenie to umiarkowano dzienniki węgierskie uważając za dostateczne zadośćuczynienie, większość jednak prasy nie zmienia tonu i domaga się ciagle oddzielenia armii narodowej w sposób tak ostry, że przekładki tych artykułów w dziennikach niemieckich i polskich prokuratorysta austriacka skonfiskowała.

w ogrodzie, pogrążonym w świetle miesięcznem, Klara, rumieniąc się wstydlwie, dała mi do zrozumienia, iż zyczenie mego ojca było również jej życzeniem. Słysząc wyznaczenie to, o małym nie zemdlał. Zamilkłem i serce po raz pierwszy w życiu biło mi gwałtownie w piersi. Klara milczenie moje wzięła za dowód pomieszenia, przechriliła się więc milotnie ku mojej koscii, najbardziej miłkkiem swym głosem powiedziała, iż powinienem żyć dla ojca mego i dla niej, bo oni mnie obawie kochają niewysłownie. Na jedną chwilę zachwiałem się, ale na jedną chwilę tylko. Natychmiast zapomniałem nad sobą i, powiedziawszy Klarze, iż szczęście miłości złoty muszę na ołtarzu wielkich przeszczeń — uciekłem.

Potem była już ona zima, jak marmur, nie dostrzegala mnie; zdawało się, iż przestałem dla niej istnieć. Niekiedy obłód jej budził w mem sercu coś nakaztali miłości; nie mogłem wówczas oderwać oczu od pięknej dziewczyny. W głębi duszy spodziewałem się, że Klara jeszcze raz ofiaruje mi swą rękę, lecz spodziewałem się napróżno. Prośbę o to, co mi ofiarowywano i co ja odrzucałem — zdawało mi się niegodnem mężczyzny. Szatan pychy

Mowa Salisbury'ego, wygłoszona na obiedzie lorda majora Londynu, w której pierwszy minister oświadczył, że sprawa irlandzka może być zatławiona jedynie przy jak najściślejszem utrzymaniu jednolitości państwa, wywołała w Irlandyi powszechne oburzenie. Dzienniki narodowe wzywają lud do walki na nosie. Poruszenie umysłowe i namietności uwydatnia się coraz silniej, w Belfastie, gdzie ludność katolicka irlandzka zmieszana jest z protestantką, wybuchł znów rozruch i walka uliczna przybrała szersze rozmiary. W innych miastach odbyły się również bojkoty uliczne. Parlament angielski zbierze się 19 b. m., wtedy zapewne sprawa irlandzka wystąpi na widownię, zwłaszcza że unia narodowo-liberalna tj. stronnicy Gladstone'a, oświadczają, że podtrzymuje nadal swój program w całości, na razie zaś zażąda billu, znającego stopę czynszu dzierżawian. Wniosek ten może mieć poważne ustępstwa, gdyż w sprawie tej Chamberlain i jego przyjaciele głosować będą za billem, gabinet więc, opierający się na słabej bardzo większości, łatwo odnieść może porażkę.

We Włoszech wzmaga się cholera, dotychczas według doniesień urzędowych zmarło przeszło 10,000 osób. Epidemia zaczęła się także szerzyć w Tryeście i nawet na terytorium chorwackiem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

I.

Drano, 1886, sierpień.

Parsfal i Trystan w Bayreucie. — Jubileusz uniwersyteci hejdelberskiej.

Mając zamiar udać się na uroczystość jubileuszu hejdelberskiego, postanowiliśmy zobaczyć nieco z drogi, raz jeszcze w Bayreucie posłuchać Parsfala i poznać Tristana. Nie żałuję tej wycieczki, bo staranność w przedstawieniu oper Wagnera poniesioną tam w roku bieżącym do jeszcze wyższego niż dawniej stopnia; zadowolę się to winniśmy zapewne zabiegom pani Kosimy Wagnerowej, która osobiście reżyserowała się za sceną. Skład śpiewaków i orkiestry pozostał prawie bez zmiany, jak w latach poprzednich.

Nie będę się na nowo o Parsfalu rozpisywał; Tristana, którego po raz pierwszy

nie opuszczał mnie również: tem lepiej — wolał on we mnie — teraz przed tobą losy święty, cel wymarzony. Wyrzekłem się więc miłości i zostałem księciem.

— Głupiec! — szepnął Ornelli.

— Trzykrotnie głupiec, mówiłem sam sobie — odparł kardynał Beni, gdy Klara wkrótce po tem wstąpiła do klasztoru, ale już było za późno.

— Jesteś pan zadowolony? — zapytał Ornatielli, ciagle jeszcze trzymając rękę na oczach.

— Nie. Są ludzie, którzy ani szczęścia ani zadowolenia odnalazł nie umieją; do licha ich ja należę: jako małżonek Klary nie byłbym zupełnie szczęśliwym — brakowałoby mi owej wymarzonej świętości, jako księcia koscii.

Zatrzymał się. Ornatielli myśl jego wypilił:

— Jako księciu koscii — brakuje wam Klary.

Nastąpiło długie milczenie.

(D. n.).

lyzałem na scenie, wydał mi się trudnym do zrozumienia, szczególnie po niedostatecznym obeznaniu się z wyciągiem fortepianowym i przy jednokrotnym wystąpieniu. Tekst jest słizny, oparty na legendzie średniowiecznej, przekazanej Niemcom przez francuzów. Muzyka, jak zwykłe Wagnerowa, miejscami porwijająca, a czasami trochę rozwlekła. W porównaniu z Parsifalem, Tristan robi wrażenie dość wydatnego przeciwnika. O ile w ostatnim swem dziele Wagner spokojnie i ustąpił z wielu uparcie dawniej broniących stanowisk, a przez to stał się jaśnym, dostępnym i słodkim; o tyle w Tristanie przemawia on z całą wybitnością i szorstkością wysunęty przez siebie teorii muzyczno-dramatycznej; tutaj jest dumny, „intransigentem“, drwiącym sobie z przeproszeń dotychczasowych i śmiało w przyszłość kroczącym, w Parsifalu zaś czujemy złagodniałego starca, który nie nie stracił z dzielności i oryginalności, ale postanowił wrócić raz jeszcze do wspomnień młodości, nęcić nieco smakowi ogółu i pozostawić jąłednim a słodkim śpiewem sztukę, którą w chwilach męskiego zapalu chciał zburzyć i na nowo odbudować.

26 lipca na przedstawieniu Parsifala widziałem Lisztą, siedzącego na zwykłym miejscu, w ostatnim rzędzie krzesel, pod arkadami, otoczonym gronem dam-wielbicielek, wśród których zwracał poważniejszą uwagę młody Zygfryd Wagner, dziwnie do ojca podobny. Patrząc na czerstwego i rumianego starca, nikomu pewnie na myśl nie przyszło, że w kilka dni potem Liszt skończy żywot pod tym samym dachem willi „Wahnfried“, gdzie Wagner żył do końca.

Po kilkominutowym wypożyczku w łożym, chłodno-cienistym Wildbadzie, wieczorem i sierpnia przybyłem do Heidelbergu. Już na dworcu kolei niesłychany natłok zapowiadał, że dzieje się tu coś niezwykłego. Pierwszy rzut oka na ministecko zapowiadał uroczystość: mnóstwo chorągwy badenkich, niemieckich i innych, obfitość zieleni, kwiatów i kobierców, pokrywających wszystkie wolne na murach miejsca, obecność zaraz na wstępie biura mieszkaniowego i informacyjnego — wszystko to nadawało cichej zwykłej miestcie niezwykłą jakąś postać.

Ominęła mnie trochę poszukiwania lokalu: szanowny rodak nasz, profesor uniwersytetu dr Jurasz oddawać ośiarował mi szczerą swą gościnność. Pod jego też dachem zastaliśmy o jeden dzień wcześniej przybyłego dra Rembowskiego z Warszawy, który prawdziwie królewskim darem rządkich i cennych książek starych, treści prawnopolitycznej polskiej wzbogacił księgozbiór heidelbergi w dniach jubileuszowych. Dzięki uprzejmości gospodarza naszego, mieliśmy już zapewnione karty wstępu na wszystkie prawie uroczystości. Pośpieszyliśmy je odebrać z biura i dostać zarazem medal i kokardę z kolorów badenkich, które sobie przypisano na piersiach na znak, iż się dawniej już do studentów heidelbergi, a jest gościom obecnie.

Uprowadzając przebieg całonocnych festynów, powiem a góry iż wszystko odbyło się pomyślnie i według programu. Deszcz był wstrzemięźliwy, słońce hamowało swo promienie; nie zalała się żadna estrada, nikt zycim nie przypłacił natłoku na kolejach; słowem żaden przykry wypadek nie zakłamał pogody pięknego obchodu.

Jedna rzecz tylko raziła, i to nie tylko nas, cudzoziemców, ale liberalniejszych gości i takie dzienniki niemieckie: oto że uroczystości wyłącznie zycwilizacyjnej i międzynarodowej stano się, gdzie można było, nadawać charakter narodowo-niemiecki; wielki ksiąg badenki, zarazem rektor uniwersytetu, noszący się zwykłe po cywilnemu, występował w mundurze, chociaż

większość gości spodziewała się ujrzeć go w auli i kościele przybranego w togę rektorską, co by pewnością odpowiedniejszemu i ładniejszemu było; obecność cesarzewicza niemieckiego, ustrojonego w mundur generałski, jeszcze więcej jakiegos militarnego charakteru uroczystości dodawała. A jeżeli już mam od razu wszystkie skargi wyurużyć, to tuż raz i inną wypisuję, aby za to w dalszym ciągu mógł tylko chwalić.

Otoż niepolitycznym było w mowie prełoża Kuno Fischera, iż parę razy zbyt ostrymi wyrazami wspominał o barbarzyństwie francuzów w końcu XVII w., gdy Palatynat splądrowali i zamek heidelbergi spalił; wyrażenie „jak drapieżne zwierzęta“ miejscowym było woble słuchających czterech akademików francuskich, delegatów Instytutu. Wszakże niedługo przed najazdem francuskim również dzięki napadu dopuścili się austracyj do Tillym: po nich jednak mowa jakoś gładko się przesliznęła, a byli winniejsi, bo rodaków napastowali. Nie wypadło także mowy roziądną do niesłychanej długości 3 godzin...

To wreszcie zganid muszę, że zwozajem nieraz w podobnych razach praktykowanym, rozdawano zbyt wiele zaproszeń, skutkiem czego, jak np. na zamku 3 sierpnia wieczorem, tłok byłw niesłuszny i dostawało się więcej szturchnołów niż miłych wrażeń...

Odrzuciłem teraz medal na dobrą stronę, i w krótkich słowach opowieć przebieg uroczystości.

Miejscem ich były: aula uniwersytecka, która, mówiąc nawiasem, do niedawnego czasu oznaczana się niepospolitymi brudami, obecnie zaś została ślicznie przystrojona, również jak i przedsiokni, korytarze i wschody uniwersytetu; dalej: kościół (protestantki), zamek i ogromna sala drewniana, zbudowana ad hoc nad brzegiem Neckaru, ładnie przystrojona, oświetlona elektrycznością i mieszcząca przeszło pięć tysięcy osób.

W niej wieczorem 2 sierpnia zebrała się spora ilość gości; przy niezbędnym piwie, ogłoszono orkiestry i balastliwych pogadanek upływały tam pierwsze chwile epokianki się dawnych i nowych kolegów.

Nazajutrz o 11 przed południem, po uroczystem nabożeństwie w kościele, odbył się najważniejszy akt w auli: przyjęcie deputacji uniwersytetów i ciał uczonych niemieckich i zagranicznych przez rektora, czyli w. księcia. Aula heidelbergi zaledwie kilkadziesiąt osób pomieścić może; gości zaś przybyło kilka tysięcy; oczywiście tedy niewielu było wybranych. Ponieważ nie reprezentowałem niczego i nikogo, nie mogłem się dostać na ten obchód. Wiem s o powiadać szczęśliwszych ode mnie świadków uszonych i z dzienników, że akt w auli odbył się poważnie i pięknie. Przemowa w. księcia przyjemnie oczyniła wrażenie; ponieważ obecnym był był następca tronu niemiecki, więc się rozpoczęła od słów: najjaśniejszy cesarzewicz (durchlauchtigster Kronprinz), najwyżsi, wysocy, szanowni goście! Zakonczyła się zaś życzeniem, aby pod opieką rodu księcia wspaniała kwitła wspaniale i nadal, oraz wręczeniu prorektorowi pamiątkowego medalu na złotym łańcuchu, który odtąd ma nosić w dniach uroczystych.

Wieczorem w. ksiąg przyprowadził gości, opratrzonych kartami, na zamku. Oświetlono dziedzinie jęgotysiącem kolorowych lampek, a taras elektrycznością, umieszczono na nim orkiestrę i beczki z piwem; jedną z sal doliwch obrócono na przybycie dla honoratowców. Z początku goście stanęli kołem u wnijaśia dziedzińcowego, a w. ksiąg, żona jego i cesarzewicz rozmawiali z bliżej stojącymi osobami; potem odeszli do sali, zaproszając tam najwyższych dostojników obecných, oraz profesorów heidelbergi i ich żony; tam się od-

bywała prezentaoya gości wybranych; na dziedzińcu i tarasie parę tysięcy zwozycanych śmiertelników słuchało muzyki, pito piwo, obławoło się wzajemnie, niosąc je wśród natłoku i przypatrywało się przez okna, co robili wielcy światła tego w sali.

Nazajutrz (4 sierpnia) profesorowie oraz dygnitarze miejscowi i przybyli zgromadzili się w auli, a zamtąd uroczystym pochodem, w towarzystwie studentów przeszli do kościoła; wrócić po nich przybyli w. ksiąg z żoną, cesarzewicz i kilku ksiąg badenkich, ministrowie (w tej łasobie Gosler z Berlina) i zajęli miejsca zaszczytne w środku nawy; profesor K. Fischer wstąpił na umyślnie ustawioną dlań ambonę i odczytał długą (o jakie długą!) mowę, w której opowiadał dzieje Heidelbergu, wspaniały i jej księgozbiór. Mowa ta jest już wydrukowana *) i należy do najlepszych piem, w znacznej łasobie ogłoszonych z powodu jubileusza.

Nie mam zamiaru w treść jej wchodzić; podnoszę jednak tylko ustep z dziejów biblioteki. Na początku XVII w. dostała ona wielkich na owe czasy rozmiarów; posiadała przeszło 3,000 rękopisów i z górą 5,000 tomów drukowanych. Roku 1622 liga katolicka zdobyła Heidelberg; ksiąg bawarski, naznaczony gubernatorem Palatynatu, darował księgozbiór heidelbergi papieżowi, uważając go za swą zdobycz wojenną! Papież Grzegorz XV wdziesięcym sercem dar przyjął; mimo dopominania się późniejszych katolickich władców Palatynata następcy jego zagrabionych ksiąg nie zwrocił.

Teraz dopiero, przez wzgląd na zbliżenie się niemiecko-papieskie, uniwersytet (to jest rektor jego, wielki ksiąg) zaprosił papieża na jubileusz; wielkie wrażenie wywarła depesza, donosząca, że Leon XIII wysłał nuncjusza do Heidelbergu. Będzie to niezawodnie kardynał jakiś i przywiezie obietnicę zwrotu biblioteki — tak mówiono w Heidelbergu i w Niemczech. Widziałem kardynała! — powiada jakiś pocięty mieszczuch — stary, w tożde akademickiej karmazynowej, w takiejże imfule, a wszystko auto złotem wyszywane; jechał dorożką i trzymał coś w ręku, może pastorał. Bój się boga, powiadają mu na to, to nie kardynał, to rektor jakiegos uniwersytetu niemieckiego, w tożde i berecie, z berłem w ręku; spieszyl na akt do auli. Inni znowu widzieli kardynała-legata w płaszczu fioletowym, a niektórzy w białym.

Akt w auli rozwiązał wątpliwości. Przybył rzeczywiście legat, ale nie był ani kardynałem, ani nawet księdzem; jest to wysoki młodzieniec, z ozarną brodą, we fraku i białym kawacie, nazwijający się signor Enrico Stephenson, syn bibliotekarza warszawskiego; przywołał rzeczywiście coś dotyczącego księgozbioru palatynskiego, ale co?... szczegółowy katalog i opis ksiąg i rękopisów zagrabionych dwadzieścia kilkadziesiąt lat temu... Boatus qui tonet! A ponieważ posłów nie ścinają, owasem nagradzając czasem, więc signor Enrico mianowany został za sporządzenie tego katalogu doktorem filozofii uniwersytetu heidelbergi *honoris causa*.

Przed i po mowie Fischera wykonywano piękne utwory muzyczne na głosy i narzędzia.

Po południu dygnitarze pod wodzą w. księcia zgromadzili się w kursie (w Heidelbergu nazywa się to „Museum“) na ostate, wśród której wygłoszono niejedną mowę i wzniesiono liczne prezdrowia; mowa słynnego Helmholtza z Berlina, nie-

*) Dr. Kuno Fischer, *Festrede zur 300 jährigen Jubelfeier der Ruprecht-Karls Hochschule zu Heidelberg*, Heidelberg, 1886, str. 98, w 8-cc. Mówca otrzymał tegoż dnia tytuł K. celenicy; był już przedtem rzeczywistym radcą tajnym, oraz kawalerem wysokich orderów. Nie wszyscy filozofowie brzydzą się tego rodzaju odznaczaniem!

gdyś profesora heidelbergskiego, najwięcej się podobala.

We czwartek (5 sierpnia) w kościele, po wyłączeniu pięknej muzyki, przystąpiono do ogłoszenia nazwisk nowokrowianych doktorów honorowych (honoris causa); dziekan każdego wydziału przemawiał krótko i wymieniał nazwisko oraz głównie zasługi osób zaszczytnym tym odznaczeń. Rektor (w. książę) został doktorem teologii i prawa, za pomyślnie załatwienie sprawy kościelnej w badeniach; oprócz niego udzielono tytułów doktorskich za sta osobom z różnych zawodów i krajów; z cudzoziemców angiely i amerykanie najwięcej, francuzi najmniej byli uwzględnieni.

Nazajutrz, wśród najpomyślniejszych warunków pogody, odbył się najpiękniejszy ze wszystkich obchód jubileuszowy: pochód historyczny, mający wyobrazić pęd wieków istnienia wszechziny, tak ściśle związanej z dobrymi i złymi losami Palatynatu, że jej dzieje były zarazem historią krainy. Trudno w krótkich słowach odmalować śliczną panoramę, niby duchów przeszłości, kmąkających przed oczami w całej pełni życia i strojów. Ubiory, broń, powozy, słowem wszystkie szczegóły materialne zachowane były z największą, rzec można pedantyczną wiernością. Profesor Karol Hoff, główny kierownik całego pochodu, pilnował historyczności kardego guzika, każdej szpryki i nie nie przepuszczał bez sprawdzenia. Utrudniało to wprawdzie przygotowania, ale stało się rejonika zupełnej prawdziwości obrazu. Wszystkie tkaniny były prawdziwe, nie które umyślnie podług dawnych wzorów wykonane; złoto i srebro; powierzchnie przynajmniej, również szczerze imitowały. Wymagania te profesora z Karlsruhe podniosły kosztowność strojów i rynekunków do wysokiego stopnia; ale znalazło się więcej niż potrzeba ochotników, którzy z własnej kieszeni kosztu ponosili, byle się ukazać w pochodzie, na który sto tysięcy oczu patrzyło.

Najwięcej pochopnymi do tego okazali się angiely i amerykanie. Ubranie pewnej angielskiej kosztowało ją osm tysięcy marek; kilka dam wydalo po trzy do pięciu tysięcy. Bo jakżeby cory Albionu znieść mogły, aby Elżbieta angielska, żona kurfirsta Fryderyka V (1613) i dwór jej kto inny, niż angielski przedstawiał mialy! W innych grupach niemalo też było angiolków i amerykanów.

Pochód rozpoczynał się od herolda, kończył się na orle nowego cesarstwa niemieckiego, które sobie herb ten uniekowało. Przemknęły przed oczami naszymi nasampród uroczyny wesechnicy; cały szereg postaci współczesnych Rupertowi (koniec XIV w.): mnisi, zakonnicze, duchowni, rycerze, profesorowie, sam kurfirst i wreszcie wóz uniwersytetu, ciągniony przez sześć koni, ozdobiony siedzącą u góry dziewicą, wyrządzą mającą „universitas“ i stojąciami u dołu czterema, symbolizującymi cztery wydziały: pietas, justitia, sapientia i veritas.

Wiek XV nie potrafiono inaczey uwidocznić, jak przedstawiając kurfirsta, który pobli i wziął do niewoli najbliższych swoich sąsiadów; rycerstwo jego ślicznie wyglądało na tie grupy mieszczan i mieszczanek witaających zwycięzcy; śliczna Klara Dettin, kochanka kurfirsta, podąża za wojskiem na pięknym koniu.

Okres następny, najważniejszy w dziejach wszechziny i kraju, żeśrodkował się około sympatycznej postaci Ottona-Henryka (druga polowa XVI w.); książę ten, w stroju hiszpańskim, jechał otoczony grotem jedynych rycerzy i dam na koniach, za nim toczył się wóz uniwersytetu, a za nim siedzieli profesorowie nowej nauki — reformacyi; obok wozu szli Melancthon i Piotr Boquin, za nim mieszczanie i drugi wóz, z godami budownictwa, na pamiętkę najpiękniejszej części zamku heidelberg-

skiego, która Ottonowi-Henrykowi wzniesienie swo zawdzięcza.

Dalej rozwinął się obraz szczęśliwego żywota Palatynatu: wóz „Palatia“, ślicznie ustrójony, z piękną niewiastą pod baldachimem, lud, wóz Bachusa i Cerery, obywatela piekła, Sylen, Wenera, wielka bezoka heidelbergka w kopii zmniejszonej, dalej kurfirst Fryderyk i żona jego angielska, oraz ogromny orszak konno, pieszo i w powozach.

Jaki przeświadczenie zaraz dalej saloba: czarni rycerze osarasy i szawoszy, wyrażający wojnę trzydziestoletnią, za nimi koni w czerni, bez jeźdźca, symbol smutnej dla Hejdelberga pamięci wojny z Francją (koniec XVII w.).

Potem zmieniło wesołe życie dworskie — ale tylko dworskie, bo uniwersytet upadł, a kraj cierpiął po wojnach: sokoly i trofea myśliwisk, ogromna palarnia, strzelcy, jeleni i dzik na wozach. Wreszcie wskrzeszenie wszechziny na początku wieku bieżącego, wóz jubileuszowy, korporacyjne studenckie z czasów wojen napoleońskich i obecných, a na końcu zjednoczona (?) rzeczka niemiecka, reprezentowana przez sztandar orla czarnego w ruku konnego herolda. Coby ten sztandar cesarstwa miał za związek z dziejami uniwersytetu heidelbergiego, nie zdolałem zgadnąć.

Na tym pochodzie zakończył się właściwie uroczystości jubileuszowa. Tegoż dnia wieczorem odbył się ogromny „komers“ w sali drewnianej, a w następna niedzielę miał się odbyć festyn na zamku dla uczestników pochodu: wszyscy oni mieli tam wystąpić w strojach piątkowych, zapowiadano też oświetlenie bengalskie zamku od strony zewnętrznej, oraz wielkie ogni sztuczne. Odjechałem z Hejdelberga wieczorem w dzień pochodu, na tem więc muszę obchód jubileuszowy zakończyć.

Zostawia on w pamięci uczestników tę miłą pamiętkę, że w zbrojnej Germanii znajdują się jeszcze zakątki, gdzie w imię myśli wyższej zgromadzą się ludzie z ziem dalekich, bratają się z sobą i znajdują gościnie przyjęcie u księcia, który jest zarazem podwójnym doktorem i rektorem uniwersytetu.

Jan Karłowicz.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGICZNE PODSTAWY RELIGII.

II.

Określiwszy znaczenie mytów, Lesbailes przechodzi do zbadania psychologicznej podstawy kultu. Jeżeli myśli się jakby uosobieniem warunków postępu i społeczeństwa, to łatwo przewidzieć, co znaczy hold im oddawany, co znaczą rozmaite postacie kultów, rozmaite obrzędy: „obrzęd jest przeło zewnętrzniem sprawy podmiotowej, odbywającej się w zakresie warszeń i pragnień osobnika, a towarzyszących myślicznemu obrazowi w świadomości zbiorowej, jest to, w pewnej mierze, wydawanie się norweży i mięśniowej energii, nagromadzonej w ustroju społecznym; jest to przedmiotowy wyraz stanu szczególnego naprężenia, w jaki wprawia go wyobrażenie jego własnego życia.“ Innem słowem, celem istotnym kultu jest dla człowieka: „nasładować swoją własną działalność uosobienią, dostarczać sobie widoku warunków własnego istnienia i podobad się wzajem do ich uroczystości, przyswajając jednocześnie w pomoce przyrodę i wzywając jej psychylności.“ Ostatecznie kult jest to „sama kultura — uświęcona i wzywana.“

Jako przykład takiego tłumaczenia zjawisk religijnych, a zarazem jako dowód przemawiający na korzyść jego teoryi, przytacza autor starożytnie obrzędy czcioci ognia. Wiadomo, iż czynności w czasie nabożeństwa ich wykonywane, nie były nieczem innem, jak tylko odzwierciedleniem danego sposobu rozniecania ognia (wierzenie suchego drzewa w zagłębieniu kamieniem itp.).

W ten sposób w rozwoju religii odróżnia Lesbailes trzy okresy. Naprzód widzimy pierwszą fazę, w której człowiek działa wprost i jedynie, jako istota społeczna. Uspokojenie, jako zjawisko biologiczne, musi w pojęciach naszych niezbędnym poprzedzać religię — tak samo jak wszelką rzecz poprzedzał musi wyobrażenie rzeczy. W tym pierwszym okresie przedreligijnym przystawiano się jest bezwiednie i instynktownie, „człowiek nie wie jeszcze o swojej własnej działalności i nie zna praw jej wykonywania.“ Gdy w takich okolicznościach, „wytworzył się najpierwotniejsza równowaga społeczna, wówczas zastanawiają się nad nią, zaczyna on w niej odróżniać pewne aszospołeczne ważne priwiaszki, zaczyna rozpoznać w nich niezbędne warunki swego życia. Warunki te człowiek zewnętrzni... i uosabia. Takim jest zadanie okresu drugiego. Wreszcie następuje trzeci: pierwsiastek doniosłości praktycznej, uprzedmiotowiony i uosobiony, jako pomoc mytu, staje się przedmiotem czci religijnej (kultu). Tak więc: 1) czyn społeczny — przyrdo jakiegokolwiek; 2) symbol, przeobrażający go w myt; 3) kult — zwracający się bezpośrednio do symbolu, pośrednio zaś do czynu, którego przyrdo wyraża i uświęca.“

Taka druga teoria jest jeszcze jest w stanie uznać w religii wypadek szczególny przystawiania się. Ten wynik jego dochodził i wnioskii, jakie z nich wyprowadza, dają mu ostatecznie możność streszczenia teoryi w sposób następujący:

Początki religii szukał należały w twierdzeniach psychologii, nie zaś w danych filologii kosmologicznej, ani tam mniej jeszcze w danych metafizyki. Jedynie tylko prawa umysłowego rozwoju mogą objaśnić nas o przyrodzie, wartości i znaczeniu wierzeń religijnych, uważanych jako czynniki rozwoju społecznego. Podstawa objawów religijnych nie jest ani podmiotowa, ani wyobrażeniowa, lecz przedmiotowa i wchodząca w zakres postępków (pratique) — a to zgodnie z wielkim prawem psychologicznym, podług którego wszelki objaw umysłowy podporządkowany jest objawowi działalności. Mytę są uosobieniem wewnętrznych albo zewnętrznych warunków zbiorowego przystawiania się; kulty zaś — uświęceniem i uprzedzeniem w duchu (anticipation) tychże warunków. Religia jest rzeczą pozytywną na tej samej zasadzie, na jakiej wogóle bywa pozytywna wszelka świadomość: w życiu ludzkości pełni ona czynność określoną, nie uchylając się od wspólnych praw duchowych ustrojowości i nie mogąc żywić uroszczeń do nieograniczonego okresu trwania. Jednem słowem, jeżeli nauka o religiach nie zadowalnia się jedynie opisywaniem i klasyfikacją, jeżeli nadto pragnie tłumaczyć i wyrokować, to powinna z rzeczą samą nie zaś z imionia tylko stać się częścią nauki o ustrojach, wiara postawić sobie takie same zagadnienia i rozstrzygnąć je drogą takich samych metod.

Oto istotna treść poglądów Lesbailes'a. Rozpatrzenie ich stron dodatnich i ujemnych niemale mogłoby obudzić zazdrość. Poświęćmy rozbirowi ich trochę uwagi.

Zasługą autora jest przedewszystkiem zupełny brak dotychczasowej nie zaprzęgnięciem się on wzorem mniej wykształconych umysłów na religię, jak na zbiór niedorzeczności, ani też nie widzi w niej, śladem lęklwej metafizyki, jakiegosi tajemniczego mo-

locha, któremu śmiejeł zgładzać w oczy nie wolno pod karą śmierci. Niemniej ważną jego zasługą stanowi też próba związania wierzeń religijnych z panującą dzisiaj powszechnie nauką o ewolucji, z zasadą *społecznego przystosowania się*. Pod tym względem Lesbaillies posuwa się dalej od samego twórcy ewolucjonizmu, od Herberta Spencera. Nakoniec ważnym jest i godnym uznania uwzględnienie przez autora pierwiastków bezwiednych w sprawie kształtowania się mytów i kultów; tutaj zwłaszcza, dzięki pewnej jednostronności, ułatwia on nieznaną dotąd do swojej teorii kilku błędną twierdzeniem i poglądom. Rozbiorem ich zajmujemy się obecnie.

Zo stanowiska psychologii zasadniczym błędem teorii Lesbaillies'a jest zbyt głębokie oddzielenie pierwiastków wyobrażeń od pierwiastków woli. Jego „wielkie prawo psychologiczne” o podrozkowaniu w wyobraźni postępkiem jest nie dość jasne i nie dość prawomocnie rozciągnięciem tej powszechnie znanej zasady psychologicznej, iż „odruch stanowi najpierwotniejszy typ wszelkiej duchowej działalności.” Jakkolwiek zasadzie tej nie są racjonalnie można, to jednak takie jej rozszerzenie, jakiego dopuszcza się autor, uważać trzeba za niedość poprawione.

„Nie w przedmiotowej wicie treści rzeczy zewnętrznych, ani też w przyrodzie umysłu istoty rozumowej znaleźć można podstawę” podziału duchów na złe i dobre; „jedyną tylko zawierającą się ona może w dziedzinie woli i spraw ludzkich” — powiada autor. Bózwąpienie: aby uznać żył albo dobry wpływ jakiegos czynnika, człowiek pierwotny musiał go na sobie doświadczyć — pośrednio lub bezpośrednio, musiał przeto spotkać się z tym wpływem w wykonywaniu jakiejś czynności; prawdziwie tej nie przeczyła nigdy żadna „kosmologiczna” teorya religii. Z drugiej wszakże strony w owem „odróżnianiu dobrego od złego,” niepodobna nie dojrzeć jaknajścisłej zależności postępku od wyobrażenia i wpływu *tego ostatniego na pierwszego*.

W niektórych zaś wypadkach tylko psychologia kojarzenia się wyobrażeń, tylko zasada wnioskowania przez analogię może nam wyjaśnić istnienie pewnego kultu. Takim jest np. wypadek pierwastkowego fetyzysmu, nakazującego dzielnemu człowiekowi zanosić modły do kawałka drzewa lub kamienia, które nie mogą przecież w żaden sposób wpływać na jego losy. Pódbudka postępowania jest tutaj oczywiście wyobrażenie innych, istotnie wpływowych czynników przyrody, a nadto *oparte na analogii rozumowania*, że nadto przedmiot (drewno lub kamień) może również próby wylucnąć i na szczęście lub nieszczęście proszącego wpłynąć w jakiś wywierac. Pomińnieniem przeto zupełnie wyobrażeń autor o tyle zaszkodził swojej teorii, o ile przykłużył się jej, wysuwając na pierwszy plan znaczenie pierwiastków woli. Nieprawie rozszerzenie „zasady odruchów” o tło mia się do słuszności, ale o świadomości naszą można i należy uważać za jedną z sił kierujących naszymi postępkami. Wobec pierwszorzędności jej znaczenia wpływ wyobrażeń na nasze postępowanie staje się jaknajbardziej istotnym. Jeżeli bowiem kojarzenie się ich zawieści w znacznej mierze od stanu naszych uczuć, od pogódów i odczuciowych skłonności, to z drugiej znów strony takie lub inne łączenie się wyobrażeń, oparte na większej lub mniejszej liczbie danych doświadczenia, może wywierac i wywierca potężny nacisk jak nasze uczucia, tak nawet na *popyły i skłonności*, tak jednym słowem na naszą *wolę*. Wogóle stosunek religii do świadomości, zwłaszcza zaś do świadomości zbiorowej, pojmuje autor opacznie. Do rozbioru tej właśnie najcięższej części zagadnienia wypada nam przystąpić.

Jeżeli zaznaczenie i kilkakrotnie podkre-

ślanie związku pomiędzy powstawaniem religii z jednej strony i działalnością zbiorową społeczeństwa z drugiej poczytać trzeba za największą zasługę autora, to natomiast bliższe wywiesienie przyrody tego związku stanowi najbardziej rażący błąd jego teorii. Nauka o stopniowym przeobrażaniu się obyczajów i zwyczajów narodowych w obrzędy religijne jest pomysłem świętym, jakkolwiek nieowionym: pogląd ten nawet w naszym ubogim piśmiennictwie miał już swego rzecznika (Ochorowicz — *Bezwiedne tradycje ludzkości*, Atenum, 1881). Co więcej, prawdziwem jest również twierdzenie Lesbaillies'a, że w obrzędy owe wciela się właśnie taka działalność zbiorowa, której wynikiem było lub jest spotęgowanie dotychczas albo osłabienie niemych czynników uspołecznienia: obrzędy ościeliły ognia są jednym z licznych prawdy tej dowodów. Nakoniec zaprzeczyć nie można, że przedmiotem owej religijnej bywa zawsze jakiś czynnik tak albo inaczej wpływający na postęp i szczęście społeczeństwa. Aż dotąd zgadzać się przeto musimy z autorem. Niemniej wszakże głęboka i rozległa musi być nasza z poglądami jego niezgodność.

W systematach religijnych Lesbaillies widzi nie tylko wołanie ale i *uświadamianie* się czynników społecznego postępu i objawów zbiorowej działalności cywilizacyjnej, jako takiej. Nie nie może dorównać błędności tego poglądu: przecież mu energicznie nie tylko fakty, zanczerpięte z etnografii, ale, jak to zabaczamy niebawem, sama teorya Lesbaillies'a.

Prawdą jest, że największą istotę obrzędów religijnych stanowią często akty jakiejś zbiorowej czynności cywilizacyjnej, ale właściwy, że tak powiemy, *świecki* charakter owej działalności ulega głębokiej zmianie. Prawdą jest, że obrzędy przedstawiają niejednokrotnie zmieniony jakiś obyczaj narodowy, będący w wyniku i dźwigni społecznego rozwoju i postępu; ale w religii to właśnie *zanika świadomość* pierwotnego znaczenia owych przeobrażonych obyczajów. Co więcej, powiedzić nawet można, że dany zwyczaj lub czynność tak długo nie mogą się stać obrzędem, dopóki nie *zaginię* pamięć o ich *logicznym i bezpośrednim związku z kulturą*. Dowodów na to jest tak obfitość, iż tylko niezbędne tutaj ograniczenie ich liczby może być przyczyną zakłopotania.

Używane narzędzi *krzemiennych* przez człowieka pierwotnego jest wynikiem nizkiej jego kultury, stanowiącym wszakże obyczaj powszechny. Wynalazek i znajomość sztuki obrabiania metali zwyczajowy temat każde uśnąć się za wszystkich dziedzin życia codziennego — z wyjątkiem najbardziej zachowawczej — w dziedzinie obrzędów religijnych: kapłani, składające ofiary bogom, posługują się *krzemieniem*, po upływie kilku wieków, po *zatruceniu* przez społeczeństwo *świadomości* przyrodzonych przyczyn owego posługiwania się, przybiera ono tajemniczość, a od bóstwa szczególnej lubionij i wymagany charakter *obrzędu*. Natomiast żadna z owieczek, często są ani jeden z pasterzy, nie wie nie o pierwotnym cywilizacyjnym posłannictwie krzemienia.

Drugi przykład. Ludzie pierwotni w dniach błogosławionej obfitości i dostatku smarują się tłuszczem wielorybów, fok itp.; gdy są zgromadzeni w większej liczbie, przysługę to wyświadczać sobie wzajemnie. Narody starożytne tłuszczone zwierzę zastąpiły wonnymi olejkami; przyjemność ta, zwłaszcza z nastaniem cięższych czasów, mogła być udziałem tylko jednostek wybranych, jak: kapłani, książęta, wodzowie itp., używanie jej nie przestawało być jednak *zwyczajem* narodowym. Dopiero wówczas, gdy smarowania się owo utraciło swój pierwotny charakter obyczajny, dopiero wówczas przetrwać mogło tajemniczą postać *obrzędu* (sa-

kramentu), dopiero wtedy stać się mogło „namaszczeniem” lub „pomazaniem.”

Trzeci przykład. Jakkolwiek pobożne biesiady pierwszych obżreścian (agapy) wkraczały już do dzisiejszych obrzędów, to jednak związek ich z cywilizacją za zasadą miłości bliźniego był dla uczestników ich widoczny; niemniej zrozumiałą dla nich była najpierwotniejsza, całkiem przyrodzona owych zgromadzeń pobudka — przypominanie zbawicieli. Słowem — agapy były raczej pobożnym *zwyczajem* społeczności chrześcijańskiej, nie zaś *obrzędem*. Już za życia apostoła Pawła zaczęły one tracić swój dodatni charakter cywilizacyjny: każdy z biesiadników przynosił własne jadlo, przez co gwałciło się zasadę równości. Przechodzenie więc na ucztę nie było już tak logicznie uzasadnione; sama zaś ona przybrała przez to charakter jakiejś tajemniczej obowiązkowości. Dzisiejsza pozostałość tych biesiad pierwotnych — sakrament komunii — w wyjątkowych tylko wypadkach zgromadza większe tłumy u „wspólnego stołu,” ale i wówczas przegłębiając tajemniczość i świętość obrzędu najmniej usposabia każdego z wiernych myśleć o czemś innym, niż o zbawieniu własnej tylko duszy, nadto, jak nas poucza ksićciół, ani jedna z owieczek nie ma widzieć w sakramencie proste tylko pamiątki i ani jeden z pasterzy za taką go nie uznaje.

Starsza od wielu innych religia żydowska obfituje też szczególnie w potrzebne tu dla nas dowody: zachowywanie koszeru, mycie rąk przed spożyciem pokarmu, niejedzenie mięsa zaraz po mleku, obżreżanie itp., od dawna już i jaknajzupełniej utraciły w oczach prawowierzącego żyda swoje pierwotne znaczenie cywilizacyjne (hygieniczne); sądzi on natomiast, iż Jehowa dla jakichś tajemniczych, sobie tylko wiadomych powodów, lubuje się w takim a nie innym jadłospisie, lub sposobach piętnowania wybranego ludu.

Jak dalece w wykonywaniu obrzędów zawiera się wszelka *świadomość* związku ich z postępem i uspołecznieniem widać stąd jeszcze, iż niektóre (przestarzałe) systematy religijne stają zawsze na straży wszelkiego antycywilizacyjnego zwyczaju, wszelkiego wsteczństwa. Przykładu dostarczą nam tutaj tak zwana prostytucya religijna. W pewnym okresie uspołecznienia i w pewnych jego warunkach jednoznaczność jest czynem anti-społecznym, zaś wspólność kobiet — objawem jaknajbardziej dla społecznego rozwoju dodatnim i pożądanym. Z biegiem czasu ze wzrostem możności zdołbycia i wywyższenia większej liczby niewiast, wspólność ich zostaje ograniczoną w czasie i przestrzeni i bywa już tylko przywilejem wybranych. Ostatecznie zaś prostytucya owa, jako tradycja spuścizna dawnego uspołecznienia, jako szcztakowy i pobawiony pierwotnego znaczenia zwyczaj narodu, staje się pewnym rodzajem kapłaństwa (bajadery).

W owem przeobrażaniu się zwyczajów w obrzędy, w przemianie owej można zresztą widzieć wszystkie pośrednie stopnie większej lub mniejszej utraty *świadomości* *związku ich z cywilizacją i postępem*; tworzą się wtedy zwyczajnie obrzędowe lub zwyczajowe obrzędy: pierwszych przykładem mogą być igrzyska olimpijskie, drugich — nasze procesye. W ostatnim wypadku forma zewnętrzna obrzędu (obchodzenie) utraciła już wprawdzie swój sens pierwotny, ale poczucie *wspólności* zanoszonych modłów nie przestaje się utrzymywać w sercu wędrujących pobożnie owieczek.

Nakoniec, jakem zaważył przed chwilą, sama teorya Lesbaillies'a staje w sprzeczności z tym jego poglądem, iż w religii *uświadamia* się obyczaj cywilizacyjny. Jeżeli bowiem religia, jak utrzymuje autor, jest już w ustroju społecznym czynnością *wor-*

ganizowaną — to zgodnie z teorią musi ona być odruchowa, a przeto bezwiedna.

Jednem słowem związek religii ze zbiorową działalnością cywilizacyjną jest jak najbardziej istotny, lecz ani bezpośredni, ani, co główna, *bielonym*. Obrzędy nie są świadomym wcieleniem zwyczajów kultury, lecz bezwiednym ich odtworzeniem, są raczej objawem ich szczytkowym. *Uświadamianie się* warunków społecznego rozwoju i postępa jako takich na inne odbywa się dwojako: w religii uświadamia się one jako *wyraz pewnego stosunku wierznych do woli bóstwa*; społecznie ważnym to jest o tyle tylko, o ile religia staje na straży *etyki*, nie ma zaś wagi ani w odniesieniu do mytów, ani do kultów. Religia przeto stanowi potężną dźwignię postępu i uśpołecznienia o tyle, o ile 1) wielką jest liczba jednostek, którym w szukanii i zachowaniu warunków społecznego rozwoju nie przychodzi z pomocą społeczna świadomość i 2) o ile nie uświera początkowych objawów przetrzaskanej moralności. Z tego przeto stanowiska religia przestaje być „biologicznym absurdem” i, jako objaw społecznego przystosowania, godzi się z teorią Darwina i z całym wogóle ewolucjonizmem.

J. K. Potocki.

LITERATURA I SZTUKA.

JAN LAM.

II.

Panna Emilia czyli, według późniejszego tytułu *Wielki świat Capowie* (1869) był to pierwszy utwór Lamy większej miary i wyraźnego talentu. Jak zwykle na kanwie mizernych, plotkami, intrygami i małostkami poplątanych stosunków małego miasteczka galicyjskiego, przedstawia autor historię rodziny Wetzla Pretzlitschka, *besirkorstehera* (małozielnia powintu), który z ochotą przedzierał się w niemieca, tropił wszędzie urojonych i rzeczywiście rozbitek, nieomrodowanej polskiej partii przewrotu, a jednocześnie łapówkami i szachrajstwami napompuwał sobie kieszonkę. Ma on córkę, pannę Emilię, która ze wzajemnością kocha aktorkę szarą sądowego Schreyera, o jej rękę zaś stara się zniemożony rusia Sarafanowicz, ad junkt ojca, wstępną skoera. Pretzlitschek popiera go, bo ten przez swego wuja, mającego wpływy w namiestnictwie, pomaga do duszenia skarg na nadużycia „vorstehera.” Śród walk, a nawet bójek, między współzłotnikami oraz akturyzmem a ojcem jego kochanki, spada niespodziewany dla wielu polak — namiestnikiem Galicji zostaje polak, hr. Goluchowski. Pretzlitschek zrzuca po raz drugi skórę (nazywa się już: *Preclitschek*) i wyznaje, że „właściwie jest polakiem,” ale ta przemiana nie ocala go przed dymkami. Zarabia na niej tylko Schreyer, który polubił pannę Emilię.

Myśl ogólna tej powieści jest dość niewyraźna i rozszerepia się w milione drobnych ubocznych, w przebieżdzie rozdawanych podjętą bieżą, którym autor tnie na wszystkie strony. Ciągłe przerywa on wątek dla wymyślenia rzeczy i osób, niemających z treścią żadnego związku, ciągłe zbacza dla poturządzenia jakiegoś dziennika, prawa, radcy miejskiego, literata itd. Lam pomieszczał swoje powieści w gazetach i pisywał je kawalkami z dnia na dzień, przy egzekucji redaktorów, zecerów i obłopów drukarskich, przy roztargnieniu, dzięki któremu jego bohaterzy w dalszym ciągu osłonięci trafil po przednie a zyskiwali nowe imiona, stąd wynikały nie tylko sprzeczności, łatanie,

wycieczki od rzeczy, łamaniny w rozwoju charakterów i stosunków, ale często gmingo w rozkałkowanej robocie pierwotne założenie. Po bliższom jednak rozpatrzeniu można je odnaleźć. I w *Wielkim świecie Capowie* obdłił się ślad pewnego zamiaru. Lam nie lubił — inaczej jego uprzedzenia określić trudno — Czechów i rusinów. Otóż w postaciach *Preclitschka* i *Sarafanowicza* chciał widocznie ośmieszyć i napiętnować, jeśli nie obie to narodowości, to przynajmniej pewne ich wytwory. Wiadomo, że w epoce, poprzedzającej obecny okres życia politycznego Austrii, czesli dostarczali państwu urzędników najposłobniejszego i najokrutniejszego rodzaju, przyjęli oni bardzo czynny udział w tej maszynie niemieckiej, która tak długo gąbiła ludy palono we wgnętnościach austriackiego *Molocha*, a między nimi polaków. W daleko mniejszym stopniu, ale również pracowali na tej niewie rusini, na nroszozienach służnych i niesłużnych, na rachunkach goźdźwih i niegodziwych ostrąge swoje noże, zdobyte w służbie rządowej. Nadto zwały się trzeba, że Lam pisał swoją powieść w czasie, kiedy Galicja nie tylko pamiętała żywo rany zadane w przeszłości, ale pozostawała pod wrażeniem zawrotu Czechów w inną stronę i śmiałego wyzwiania się rusinów z przymusowej małobolności. Przedstawicieli tych ostatnich tak on określa: Pan Johann von Sarafanowicz nie celował w filologii słowiańskiej, w Buczaczu musieliśmy mu zawsze pomagać w fabrykacji *der ruthenischen Ausarbeitung*, a nawet teraz, kiedy znajomość cyrylicy i grażdaniki była tu podwójnie potrzebna, jako jednemu świeckiemu reprezentantowi narodowości ka. Nabuchowycza w powiecie opowickim, ksiądz wikary obrządku r. kat. musiał jemu i ks. Zuckiewiczowi z Capowki czytać i tłómaczyć trudniejsze miejsca w *Słowie* (rusińskim), i raz kiedy szanowny ten organ zaliczył przy jakiejś sposobności jego nazwisko do „rewnijszych boryteley i pokrowyteley narodności,” pan Johann von Sarafanowicz obraził się niezmiernie temi przewiskami. Dopiero dalszej argumentacji ks. wikaregoowodło się przekonał, że „boryteley” nie jest ten co „burzy,” ale ten co „boretsia” — itd. Jednocześnie dodał ka. wikary parę uwag, że właściwie nierozłądną i próżniaczą jest rzeczą kochać język, którym *nikt nie mówi*, i udowodnił p. Sarafanowiczowi i ks. Zuckiewiczowi, że ich językiem *opieczymy* jest polski.” W tej charakterystyce zamyka się cała teoria polityczna Lamy, który znacznie później „poszukiwał” narodu rusińskiego i który, kreśląc kurykatury historyczne i psychologiczne usprawiedliwione, obrażał ludność pobratymczą i wprowadzał do stosunków rusińsko-polskich szarydery rozdźwięk owym poglądem zaściankowym. Ale zaściankowskość ta nie była wynikiem sfanatyzowania się i ciasnoty pojęć, płynęła ona z krwi, z plemiennych upodobań Lamy, który wyrósł na paju dziennikarskim i do słowności miał instynktową odrzę, wykarmioną nie tylko pierwotnem niemieckiem wychowaniem, ale także zachodniem powietrzem literatury polskiej. Z różnych źródeł epoki tak się w nim dwa pokrewnie uczucia antysłowiańskie.

Było to wielkiem dla Lamy szczęściem, że po ogłoszeniu drugiej powieści *Koronarz w Galicji* (1870) mógł on pisać swobodnie i odśladając tę część swej dasy, na którą padł cień od owego utworu. Gdyby był przenosił się na inną stronę nieba i nie mógł świecić pełnią, lecz wąskim sierpem twarzą, nie uszedłby przegiera, który mu nawet próbowa wystawić. Rzeczywiście ta kurykatka była grzebielom, przeciągnięciem po najdrżliwszych nerwach społeczeństwa. Artur Kuksielski przybywszy jako rozbitek do Galicji, przesnaczony został pod nazwiskiem Jana Wary w stopniu majora do jednego z oddziałów „szachu-

cych” Roasy, które ciągle tworzyły się, były w pogotowiu, dostarczały kłopotu różnym komisjom i dostojnikom spisku, ale porzastały tylko na „szachowaniu.” We Lwowie Kuksielski, brnąc po trzęsawiskach organizacji do swego nowego stanowiska i przymierając głodem, dostało się pod opiekę dwu pań Szeliszczynskich, macochy i pasierbicy, których serca odrzuca. Nareszcie obdarowany przez nie bojnio i zaopatrzony w pasporty: francuskiego wiole-traciącego i rosyjskiego księcia, jednie do „sztabu.” W drodze spotyka austriackiego bandarę, który zważawszy winowajcę, zwiadcza, że wiozący go szlachcie uciekli z bryki, bierze wieohrabiego do kozy. Tu zaś od swych byłych towarzyszy broni, którzy go poznali, dostaje miodła, ale udając francuza i porozumiewając się z władzą za pośrednictwem córki aptekarza, ucieka z więzienia. Chwilowo bawi w domu ojca swej tłumaczki, którą darcownie usiłuje ocazarować, potem w charakterze księcia przebywa w dworach szlachectwa, splątanych z siecią organizacji „szachujących” i olśnionych jego dostojnictwem rodowem, wreszcie osiada u wodza „czarowej opozycji” — Kasprwskiego. Z trzech jego córka jedna roznieciła ogień w sercu mniomannego księcia. Miłość budzi w sercu bliźniara wyrzut sumienia, pod wpływem których wyznaje, że nie posiada zamków i włóści, nie jest księciem Czerwotynskim, lecz Kuksielskim — fryzjerem z Warszawy. Naturalnie panna ośma mu wszystkie swoje względy, znajomi wzgardliwie odwracają się, a gdy zdemaskowany wyjeżdża, wpada znowu w ręce władz, z których wydobywa go opiekunka lwowska, pani Szeliszczynska, za co on płaci jej swą ręką. W tych ramach autor, jak zwykle, pomiescił nie tylko mnóstwo docinków, wycieczek i szykan, skierowanych przeciwko ludziom i wypadkom po za powieścią, ale także wiele zabawnych pomyłek, nieporozumień i głupstw, do których mu krącenie po okolicy nastrożało ciągle sposobność.

Ten wywód, w którym zbiegały się nie najwrażniejszej i najboleśniej sprawy narodu, jest jeszcze głupszym, niedzielnym i nikożemniejszym, niż „świat Capowie.” Widzimy w nim tylko: niedołęstwo, samolubstwo, idyotyzm, obłudę, szalbierstwo, lekliwość z poszarami odwagi, zwyrodnienie obywatelskie. Ani jeden z owych spryszczonych „szlachotów” nie posiada nawet tyle moralnej i umysłowej wartości, ażeby go można było zaliczyć do zwykłych ludzi. Najlepsi względnie są jeszcze ci, którzy są tylko bezziemniem głupi, reszta godna szpitala, kryminalu lub gabinetu zoologicznego. Autor nawet nie próbuje zachować jakiegokolwiek prawdomodobieństwa, owszem, posuwa karykaturalność do ostatnich kwesów. Tak np. jeden z bohaterów, politykujka, utrzymuje, że gdyby togoroczne „wymazanie kukurydzy” doszło do wiadomości Napoleona, spowodowałoby go niowatpliwo do przyspieszenia interwencji.” Pani Podborska, pragnąc dobrze okazać się reżekome ma księgin, wola do męża: „Zdejsia miłob, bo powiesz głupstwo” a innym razem każe mu spoliczkować lokaja. Rozmowy przywódców ruchu są mądrymi obłąkanymi. Jeżeli gdzie, to tu Lam nie „grzyzio sercem.” Pogodny bowiem humor nie opuszcza autora na chwilę, a jest on nieraz tak rozbrzykany i rozwierny, że zamienia się na puste, swawolne, ładną logiką nie skrupowane konceptowanie. *Koronarz w Galicji* wyszedł krótko po oślawienie *Teo Stańczyka*, a nawet był może przez niego natychmiowy. Ale pomimo całej niesympatii dla katechizmu stańczyków a sympatii dla Lamy, musimy wyznać, że *Teka* miała olbrzymią wyższość nad *Koronarzem*. Tam pod sarkazmy podłożono poważny program polityczny, tu pod bezziemnym bluznizmem nie było żadnego gruntu. Tam

stronictwo prawnoświe oświadczyło: idea tajnych spisków i zbrojnych powstań była dla nas zgubną, trzeba się z nią raz na zawsze rozstać; to człowiek, który w spełnianiu tej idei uczestniczył, odmalował jej bohaterów, jako krotynów, kpow i okpiśców, a całą ich pracę, jako działalność szkodliwą i naczyną jedynie podchmielnego Stanczyka. Ponieważ zaś autorowie *Teki* nie-ścisną ruchawkę nazwali sztuczną robotą garści osłów i warcholów, Lam więc swoją grupą karyktur wyilustrował i n-sprawdził to obelżywe mniemanie. Ale jeżeli on w chłodnej taktyce stanczykowski miał swoją rację, w jego czerwonym patrytyzie traciło wszelki sens. Nie to nie znaczy, co on zastrzega: „W całej Polsce odbywał się krwawy i straszny dramat, o zakroju trochę (!) szekspirowskim, bo obok sensu wzniosłych i tragicznych, ale brakło i komicznych. Rzecz oczywista, że tamte działy się za kordonem, a tych wyłączną widownią była Galicya.” Pomijając te sprzeczności, że autor w powieści drwi ciagle z koroniarów, powiewających Galicyą i przyznając, że ów „dramat” był „o zakroju trochę szekspirowskim,” owe „sceny komiczne” nie przypominają niczem i przypominają nie mogły sen parodii Lamsa. A skoro ona jaknajdalej odsunęła się od prawdy, jaka miała cel? Nie miała żadnego, prócz wywołania efektów bezmyślniej kpiny. Jako zwierciadło, odbijające rzeczywistość w kształtach potwornych, *Koronarz* wywołał to tylko, co takie zwierciadła wywołać mogą.

(D. c. n.).

STANISŁAW DOBRZAŃSKI*).

W zylach jego płynęła po miechu krew literata — ojciec jego, niedawno zmarły, odegrał jak wiadomo niepospolitą rolę w życiu politycznym Galicyi — po kądzieli zaś krew słynnego tragika i dyrektora teatru skarbukowskiego, Smochońskiego. To też od dzieciństwa (jak powiada p. Urbański, kolega jego z lat szkolnych) okazywał nieprzerpny pociąg do sceny i literatury. Chłopcem będąc, przekradał się „na parter,” a niezbyt prawidłową ta manipulacja ciągnęła się przez lat kilka, nastrojąc tanięgo sposobu obeznania się ze sceną i dając sposobność po przedstawieniu do zaciętych krytyki z kochanym kolešką. W mieszkaniu ojca, redaktora odywiał się wieczorki literackie, gromadzące wybitnych przedstawicieli prasy i beletrystyki. Z bijącem sercem przysuchiwał się chłopców poważnym rozprawom o głośno odczytany wiersz lub artykuł „nabawiał go gorączką.” Gdy podrósł, oddawał się zapałom urzędzaniom teatrów amatorskich. W trudniejszych, charakterystycznych rolach, które jako reżyser przyjmował na swoje barki, ujawnił niepośledni, odświeżony talent dramatyczny. Grywał śmiało, z rutyną starego aktora. Z okłakiem jednak widów nie lęczyła się pochwala ojca, który podejrzliwym okiem śledził rozwój ekuklności syna, starając się napróżno odwieść go od „ślicznej drogi.” Ulegając wewnętrznemu, niezam niepochwodemu popędowi wstąpił Stanisław na deski teatralne, z początku ukradkiem na scenie prowincjonalnej, później publicznie w Krakowie, w roli komika. Licząc lat dwadzieścia kilka został dyrektorem teatru poznańskiego, ale w końcu, po złamaniu oporu ojca, objął także kierownictwo artystyczne sceny lwowskiej, którą

podniósł wysoko, tak pod względem repertuaru i doboru osób, jak i pod względem wystawy. Jako dyrektor miał „Stasio” swoje kaprysy i wady, ale trudno mu było odmówić gustu i ofiarności lubownika sztuki, idącej w parze z talentem aktorskim. Ze młodzieńcem tak wielkich zdolności nie zieleń wszystkich pokładanych w nim nadziei, winny temu przede wszystkim smutne stosunki domowe, których nie będę odmalował, a potem karyera teatralna, która młodzieńca niedostatecznie jeszcze rozwiniętego (za objęcia izraelity wykluczono go z gimnazjum, dalszej zaś nauki nie pobierał więcej) wyniosła zbyt wczesnie na stanowisko, pochłaniając najlepsze jego siły. Dąwając brzemień pracy dyrektorskiej, występując równocześnie w coraz to nowych a subtelnie opracowanych rolach, żyjąc nieopatrnie, padł ofiarą choroby sercowej, której ruchliwy i gorący jego temperament długi czas się opierał. Dla usunięcia od zajęć zawodowych wysłano go do Włoch, nie rukujać sobie żadnych nadziei. Lecz kłóży przypuścić, że w tym właśnie okresie cierpień bolesnych i czarnych myśli urodziły się w duszy skazanego na śmierć artysty najlepsze jego farsy: *Złoty ciecie* i *Zołnier królowej Madagaskaru*. Zawdzięczamy to ożekwującemu słotom Itali, czy młodzieńczemu zapałom poety, czy może obu czynnikom razem, choć że Dobrzański podziwiał się, aby na chwilę zająśnić w słonecznym blasku. Zapowiedział przybycia cesarza do Lwowa zelektryzowała go do reszaty. Ambicya, podnieciona fantazyą, przemogła baszlosła ciała. Bez względu na rozpaczliwy postęp choroby, zażądał stanowczo, by dano mu wystąpić „ostatni raz w życiu.” — „W *Benece* Fredry. Przepelniony teatr zdziwiony był dłuższym międzyaktem — niespodziewana przerwa spowodowała gwałtowny atak sercowy artysty, tuż przed podniesieniem zasłony, Stanisław stracił mowę i stwiny, jak trup, runął na ziemię. Mocnymi środkami pobudzony przez lekarzy, chwileg się, wyszedł na scenę i odegrał świetnie swą rolę — z zakulis jednak zaniesiony do mieszkanka legł, by z łosa boleści nie powstał więcej — (zmarł 18 r.).

Plan jego działalności literackiej nie był bogaty. Oprócz humorystycznych kronik w *Gazecie narodowej* i ciętych artykułków w redagowanym przez siebie piśmie *Sowiarsze*, zostawił szereg sprawozdań z wystawy paryskiej, kilka studyów o Szekspirowskich postaciach, o teatrze polskim w Warszawie, i może najlepszą z tych prac broszurę: o stanie sceny lwowskiej i sposobach jej podwignięcia. Trwałszy pomnik wystawił sobie jednoaktówkami, które tu poraz pierwszy zebrano w całości (brak tylko *Najnowszej tragedii*, pisanęj przez samą śmiercią). Znanne one nam dobrze ze sceny, był czas, że je grano we Lwowie parę razy na tydzień.

Farsa Dobrzańskiego jest cięta satyrą na zepsuta szlachetę (*Kajcio*) i jeszcze podległą pliotkacy bankierska, dla której główny cel życia i najwyższe bożyszcze stanowi pieniądź (*Złoty ciecie*). Satyrę chłoszczącą niemilosierdzie sentymalizmem romansowy (*Pan Onufry*) i luszawy pruder, stojącą się w farbowne piorka cnoty (*Zołnier królowej Madagaskaru*). Szkoda tylko, że tej zdrowej tendencji — pomijamy jeden niefortunny strzał z plotu na pozytywizm — nie zawsze odpowiada charakterystyka. Pan Antoni np. w *Onufry* i pan Floryan z komedii *Podjeżdżająca osoba*, objaw kapitałisi mogliby uobodzić za malarzy albo za profesorów. Pan Antoni nie ma ani jednego rysu typowego kapitalisty, a tak głośno zadrzającego zapalcem, jak Floryan, szukać chyba słaktarką w kole rycerzy kapitalu. Ten ostatni jest powtórzeniem jota w jote pana Alfonsa z farszki seniońskiej p. t. *Tajemnica* i objaw maszą długotego tylko, aby nie potar-

gać słabych nici intrygi, do tego stopnia być zaslepionymi zazdrością, że swoje jak szkło czyste połowicie mącą i dręcą bez najmniejszej z ich strony przyczyny. Satyra Dobrzańskiego posługuje się nie raz karykturą, przechożącą granicę prawdobobienstwa, nie stroni od tustych dwuznaczników, w potrzebie narzuca rozumnym ludziom rolę błaznów i głupiałów, albo wprowadza na scenę zmiast żywej osoby postać manekina, czasem nawet bardzo pocieszna, której dowcip polega na wypowiedzeniu (mniejsza o to w porę czy nie w porę) zawsze tych samych stereotypowych zwrotów. Komizność sytuacji, oparta jest na zużytych motywach nieporozumienia z całą motanią przebiegania się lub ukrywania pod stołem. Dla tych omyłek nie może Goldsztern, szorujący lis, patrzeć bezczynnie, jak córka jego raucha na pastwę płomieni 200,000 guldenów w gotówce, aby pod koniec satniki dowiedzieć się, że to był — figiel; ale skąd się wzięło w tem szlachajskim gnieździe, takie naiwne i szlachetne dziełce, i jak mogło nie spłamić swych błaznów skrzydeł w tym brudzie, to pozostanie zagadką. W innej farsze, dochodzącej do szczytu, kolizya polega na tem, że bohaterowie grozą: kochanka, ojciec jej i rywal — kulę pierwszą, jeżeli domagać się będzie jej ręki, drugi wprost przeciwnie, jeżeli odstąpi od żoniatki, trzeci, naturalnie, jeżeli odważy się dokonać ubóstwianego kochanka. Czyż można sztuczniej wyśrubować kłopoty człowieka, ożeczonego całą bandą wolnych strzelców. Czy chcecie poznać jeszcze rozwiązanie. Oto bohaterka zażywa truciągą w właściwie *English bitter* — i dostaje... skutków. Albo inny przykład (*Wujaszek Alfonsa*). Na zjazd do Lwowa zwała się do ciupy biednego urzędnika cala hobota krewnych i kolegów w prowincyi, a między nimi aż trzech rzekomych wujaszków. Z tych jednego wyrzucił za drzwi, aby się przekonał, że to był prawdziwy, drugi, zupełnie obey, sądząc, że do oberży zajechał, posługuje się gościom, jak kelnerami, a trzeci obwołuje, jak pokojówkę itd. Zawstydeniom nie ma końca.

Doswiadczenie życia, wielka znajomość ludzi i prawdziwa *vie comica* tryska z charakterystyki świata bankierskiego (*Złoty ciecie*) i z półwiatu zakulisowego (*Zołnier królowej Madagaskaru*). Ale i tutaj technika i forma mocno zaniedbane. Filolog może na języku Dobrzańskiego odbywać studya nad gwara galicyjską. (Przytaczam dla poparcia mego zdania wiązankę z pierwszych kilkunastu stron. „Kwadrans” str. 5 i 13, szkank za uim str. 12, porównajesz, przeoczenie jest str. 5, „Józek, który stoi na drzwiach, któremi wychodzi żona str. 10, nie znamyśmy miejsce str. 13 itp.”).

H. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Szeroka droga do duszy naszej. — Mądrosć drukowana i niemądrosć czytana lub deklarowana. — Zabawa, otwierająca naszą literaturę. — Konkurs *Tygodnika literackiego*. — Wiersz niewiedomego autora. — Ujefski i Grabczewski. — P. Stachewicz gruszy 1 p. Stachewicz cichy. — Napomnienie dla Prusa. — Domy budowane tajemniczo. — W obronę nieortodoksyjnych napisów. — Niedorzeczniejszy az niech dziwował.

Do naszej duszy jedna tylko prowadzi szeroka droga — przez zabawę. Zabawą odcieramy łzy, zabawą stawiamy pomniki poetom, zabawą karmimy głodnych i odziewamy nagię, zabawą oplacamy wszystko. Nieraz się kapie zło i zapala się brylanty w naszej literaturze, ale ma ona

*) Dobrzański Stanisław: *Komedye*, wydanie zbiorowe z przedmową Aurelega Urbaskiego, Lwów, nakładem K. Altenberga, 1886.

swoje szczęśliwo natchnienia i rzetelne prace. O najlepszych wszakże krytyka milczy lub bąka półgębkiem, dopóki one nie ubiorą się w postać rozrywki. Napisał, lekkomyślny człowiek, dzieło, w którym rozwiązałeś zagadkę niekończoności, a przekonasz się, że lata ceka upłyną, zanim w wielu piśmiach uczczą twoją mądrość i załugę; ale odczytaj publicznie w Ratuszu lub Reasursie obywatelskiej rozprawkę, w której dowiediesz, że promienie koła są sobie równe (lub nierówne) wszystkie organy opinii publicznej szeroko ogłaszają światu doniosły wypadek. Bo dla wyłączenia tego wykładu ludziorabiję się, jadą dorożkami lub karetami, przed wejściem prelegenta na katedrę rozmawiają, śmieją się, pokazują sobie ładne kobiety i głośno męczą — słowem używają zabawy. Jak to nie „omówić” (słowniki warszawski) takiej uroczystości! Więć... „omawiamy” i wczoraj nieznanie nazwisko pierwszego lepszego facetusa jutro rozbrzmiewa w ustach całej prasy.

A ty drugi, lekkomyślny prostaczku, napisz tragedję lub komedję z geniuszem Sofoklesa lub Arystofanesa i zostaw ją w druku — pozadrościsie rozgłosu cyrkowemu blaznowi. Ale gdy spłodziś najgłupszą farsę, posłij ją na konkurs lub do teatru, zobaczysz, jaka to było koniecznością, ażeby kraj dowiedzieli się o twojem istnieniu. Bo konkurs jest zabawą: ustanowienie nagrody i warunków, zebrań sędziów, turniej tajemnicza okryty, szepty i zabiegi, na koniec urzeczywistnienie ogłoszonego wyrok, po którym następuje niezadowolona, apelacja do wyższych instancji krytycznych lub do bezstronnego sądu publicznego — wszystko to rozśmiesza, drażni, denerwuje, daje wrażenia. Podobnie teatr: wzmianki w *Kuryerach* o nowej sztuce, naraż i grymasy aktorskie, wiozór ze światłem gazowym i „śmietanką” społeczeństwa, rozmowy między aktami, spory, obrony przyjaćci; napisać współzawodnik — przeciw to najpiękniejszy bal. Czy można go nie „omówić”? Speculanci chwylić już za te naszą żylę. Dawniej wydawało się, że ktoś chciał mieć artykuł o majowych chrabąszczach lub powiatkę, zwracał się do odpowiedniego literata i pisał jego drukował. Teraz inaczej, teraz ogłoszono konkurs na artykuł o majowych chrabąszczach dlatego, ażeby wszystkie piśma ogłosiły otwarcie popisu i jego wynik. Jest to najtańsza reklama a kosztą jej spadają tak szybko, że niedługo będzie można za pierwszą nagrodę wyznaczyć kwartę suszonych silek lub coś jeszcześroczniejszego, co p. Lewentał dowcipnie wymyślił.

Dojrzeli też szczególniej właścicieli naszej, trzy poezye i trzy nowelki konkursowo *Tygodnika Ilustrowanego* są od dwu przeszło miesięcy przedmiotem głosowania kilku tysięcy ludzi i wrażeń prasy. Nie badam wartości tego turnieju, o którym zresztą już dawniej pisałem i który ostatecznie jest zabawką, dość niewinną a w pewnej mierze pouczającą, ale mówię o kwiatkach dziennikarskich, otwierających szeroko swe kielichy ku tej orzeźwiającej rosie. Przyjmęmy, że owe trzy poezye ukazały się drogą zwykłą; zyskałyby poklask *Kuryera warszawskiego*, (którego w *Tygodniku* wszystko niezmiernie się podobą) — i koniec. Nikt by ich nie porównywał, nikt (gdyby były bezimienne) nie dociekałby autorstwa, przeszłyby w niepamięć, jak wiele innych. Ale trzy boginie wyszły z piany — z zabawy literackiej, odrzuca więc zajęty uwagę poważniejszą i otrzymały od krytycznych Parysów jaskółki piękności. A co by z nich niejedną dać za wiadomość, kto jest autorką wiersza p. t. „Safod”? Niemann wieszszko, nie zlituj się nad nimi?

Pierwsze dwa utwory wyszły spod pióra p. Konopnickiej, o czem wątpić było trudno. Są one jej talentu godne i nie w poświęconej im wrzawie ledy dowód naszego

dzieciństwa, ale w tem przekonaniu, że bez konkursu nie doczekaliby one dobrego słowa od obecných swych chwalców. Dopiero wypowiedziane na koncercie z 10-letniej mozkowidzkiej przebieg prasy. Jednym z najpiękniejszych talentów poetycznych literatury polskiej jest Kornel Ujejski — i coż — nie wszyscy wiedzą, że on żyje, nie oświadczono go w studyach i rozprawach, ale wkładają mu papierowy wieniec na głowę, ile razy jakaś aktorka zadeklamuje jego rymy na estradzie. Zapewno są tacy, którzy przypuszczają, że Ujejski, napisawszy *Harę na puszczy* i kilka libret piosenkowych, umarł. *Kuryer codzienny* przytacza następujący wiersz, pomieszczony w *Kuryerze warsz.* z 1835 r.

POCZTA RUSKA.

Kto chce wiedzieć, jak ptaćco po powietrzu lata, Niechaj się pocztą ruską przewlezie po ziemi. Tabun na wień wypływa skrzydłami orle, Kopytami czas zwęca, grzywą blask rozsiata.

Kibitkę, jak jaskółka samotna, przelata

Z drogi na drogę, dotknąć zapomina ziemi; Dłownek, któremu braknie tchu, napół żywym Głosek, sylabie pośagałae światła.

Z ócz rozświeconej trójki wzrok syple się żarem, Dokola kopci skazą iskry z wiatrów warem — I niebo nie da ciebie i ląd nie da ciebie!

Toniesz, toniesz w przestrzeń, myśli tobie ciężar — A zwieczny, jako szatan myślicy o niebie, Wlepi się uśmiecha, dumę wdawając na ciebie.

Sonet ten bez podpisu, według domysłu *Kuryera codz.*, jest utworem Mickiewicza. Nie zdaje nam się, ohożaj przypinamy mu również „piewszorządzą” piękność. „Ktokolwiek wszakże go napisał, przeoczenie takiej perły dowodzi, że nasze zagładanie do literatury przez zabawę odbywa się już od dawna. Gdyby w r. 1835 „Pocztę ruską” zadeklamowała publicznie aktorka w Grojeu, znalabyśmy autora, bo by go odszukano. Na nieszczęście uniemożliwił naszej poezye tylko czołownik drukarskie. Zresztą przypuścimy nawet, że jakiś szperacz odkrył już dawniej twórcę owego sonetu, to sam fakt obecnej nieśradności naszej jest charakterystycznym. Byłoby nierozważną zagadką, jakim sposobem publiczność polska zapamiętała nazwisko Krasniskiego przy jego poematach (wydawanych bezimienne), gdyby nie okoliczność, że maski z oblicza miaz arystokratycznych zdzieramy prędko.

Oby przyszłość zaprzeczyła każdej głosze mojej wroży, sądzę jednak, że daleką jeszcze od nas jest ta epoka, kiedy owoce literatury zacniemiśmy ocenić nie według koszyków, w których są sprzedawane. Dziś mają one dla krytyki wartość o tyle, o ile są artykułami publicznego widownia, zabawy. Gdyby podkreśnić algiebry mógł być odpowiadany w teatrycznym orłokowym, nanczylibyśmy go się na pamięć; na innej drodze minimy obojętnie najuczciwszą dzieła i najpiękniejszą rymy, w szerepekole kole będziemy znali naszych badaczów i poetów, niż opryszków i rabusiów.

Z ręką na sercu powiedziecie tłumy, że wasz bardziej zajmuje i o kim wam więcej mówiono: o Ujejskim czy Grabzewskim? Gdzie Ujejski mieszka, choć się nie kryje? Ale gdzie mieszka Grabzewski, choć się kryje przed pogonią sądowną, każdy czytelnik gazet natychmiast odrzeknie: w Wioch! Tak, w Wioch, szanowni panowie i panie, bawił nas swoim występkiem przez kilka tygodni, więc nie zapominamy o nim. I o Rombertowskim nasze dzieci słyszały, a o Ujejskim — nie — nie.

Gdy na konkursie *Tygodnika poświęconego* p. Stachewiczowi przyznano drugą nagrodę za rysunek „typu dziewicy polskiej,” kilkadziesiąt piór dziennikarskich wyrzuciło go w górę z okrzykiem: niech

żyje! Obecnie tenże sam p. Stachewicz pomieszcza piękne rysunki w *Tygodniku Ilustrowanym* i oprócz *Kuryera warsz.* (któremu w *Tygodniku* wszystko nadzwyczajnie się podobą) nikt o nim nie wspomni. Nie ma rady, biedny artysto, Musisz czekać nowego konkursu, bodaj na tej kryzy wierzby polskiej, wtedy znówu się obnoszą w procesy przed czytelnikami. I ja popełniłem kiedyś grzech literacki, który w czarnej kaidze wielokrotnie podkreślono; dzisiaj lat mi go nie wymawia — no, dopiero gdy przez kaprys losu wyląd na scenę, odebrałem całą należność w liściach bobkowych i pieprzu. P. Wołowski z p. Kotarbińskim zrobili do wspólnie komedję — za sto lat obrażona arystokracja nie dowiedziaby się, że ja skrzywdziłem, gdyby nie teatryczny w Alhambrze, który rzucił autorów w takie wichry krytyczne, że aż p. Wołowski przez *Kuryera codzienny* pisał ławę listy do p. Kotarbińskiego w Zakopanem. Ej, Prusie, postaraj się o jakie przedstawienie swych nowel lub żywe z nich obrazy, bo na seryo ludzie wierzą, że masz talent równy siłom p. Jeekie - Choiniskiego. Człowieku, czemu nie stanąłeś do konkursu *Tygodnika*? Trzeba być na to wrogiem własnej sławy.

Gdyby magistrat wyznał sobie corocznie konkurs na domy, zrekoliby się chętnie tego zrywcaży w literaturze. Bo posuchajcie, co opowiada jeden z budowniczych w *Kur. warsz.* Młodzień pragnąc wykastalcie się w mularstwie, a miało odpowiedniej szkoły, zwiędła bardziej pouczające roboty różnych majstrów. Obecnie na parkanach nowobudowanych domów coraz częściej ukazuje się napis: „wejście wzbronione.” Cemu? „Główną i podobno jedyną przyczyną zakazu są „fuszarki” pana majstra, robione czasem w znowie z właścicielem, a niekiedy nawet za pobłażaniem samego budowniczego.” Oó to są „fuszarki,” w których współdziałały nie tylko majster mularski i budowniczy, ale nawet sam właściciel domu? To, które kiedyś mnie lub tobie czytelniku spadną na głowę pod postacią oberwanego sufitu lub zwalonej ściany. Jak widzieć, przydałby się bardzo ukaz, zastrzegający jawność budowy domów, tak jak jawność sądów. Dziwny ten człowiek pod naszym niebem: żeby mu pozwolono nakryć się siatką pajęczą, zasłonił się obłoczekiem pary — w tej chwili szalenie broid.

Nie należąc do śadnego komitetu, stworzyłem sobie urzędzik opiekuna nicotograficznej literatury sayldowej. Nie umiem wam wyrazić jaka przyjemność sprawia mi napis: „flut pesos brama.” Gdyby angił nie wiedział, że jego językiem mówi sto kilkadziesiąt milionów ludzi, doznałby z pewnością równy rozkoszy, spostrzegłszy najładniejszy napis nad sklepikiem wsi papuszeki. Owe bowiem dzwolił polskie przekonywają mnie, że wśród warstw najniższych żyje jeszcze przywiązanie do mowy krajowej i oheć publicznego zachowania jej praw. Tymczasem syć o humor *Kuryerów*, zbierających „znakologię” i umiejających wszystko wymienić na żart. Codziennie prawie osadzony jest na szpilo jakiś bezimienny autor „pięty i puhu” lub „mideki.” Pomijając moralną stronę tej zabawy, zwracam uwagę jej uczestników, że polsko-grecki wyraz „znakologia” jest tyjaie raz niedorzeczniejszą i wstrętniejszą dla naszej mowy niż „puhy” i „mideki,” a jednakże autorowie napisów sayldowych z niego się nie śmieją.

Posel Prandy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nieproszone gość w roli gospodarza domu. — Legenda średniowieczna wskazuje. — Opór włościan. — Dobry przykład. — Etyka chłopska.

Widamo już oddawać, że to dla niemców „tam ojczyzna,“ gdzie im dobrze, zdaje się więc, że mimo najworszych objawów „brutalności słowiańskiej nie ła dzieje się im u nas i wogóle w państwie rosyjskiem, kiedy oświadczają, że tu jest ich ojczyzna, że „uzują się u siebie w domu.“

Wspominaliśmy w numerze poprzednim, że *Diennik Łódzki* zdobył się na odwagę i oświadczył, iż istnienie pism niemieckich w Łodzi jest zgola niepotrzebnem. W odpowiedzi na to *Łódzki Zeitung* wypiliła taką odepowiad. „Szanowna redakcyo *Diennika Łódzkiego* Co toż rozumiesz pod swoim kramem: Łwów czy może Poznań? Boobyhanie naszą ojczyznę? W Rosyi, tem potężnem państwie, którego synami jesteśmy, którego synami byli nasi ojcowie i przodkowie, a któremu to państwo z niezmienną miłością i wiernością oddani jesteśmy bez względu na to: czy mieszkamy na granicy północnej, czy też na zachodnich lub południowych jego krańcach — wszędzie tam, gdzie dwugłowy orzeł rozpostiera potężne swe skrzydła, jesteśmy i czujemy się u siebie w domu.“

Bal jakże nie mają tak mówić, kiedy my sami kładliśmy im w oczy ciagle, że są wraz z nami dziećmi jednej ziemi, kiedy ten sam *Diennik Łódzki* bronił obywateli pochodzenia obcych, ale w kraju osiadłych i dla rozwoju jego pozytywne. Oto, jak teraz przemawiają, „zaoni obywatele, którzy dzielili z nami świątą dobrą doś...“ Dla Arndta i jego naśladowców prowincja nadbałtycko — to *oaterland* niemiecki, chociaż nie należało do niemieckiego państwa. Naród rosyjski ma swoją własną ojczyznę, mniejsza od obszarów państwa, ale dosyć dlań nożęga, i nie potrzebuje wcale posadażać obojczyzny tych ludów, które z nim łączą wspólne węzły państwowy. W tej ojczyźnie rosyjskiej, jak i w ojczyźnie naszej niemożemy się u siebie w domu i mylą się bardzo, jeżeli tak myślą i uzują się pewnymi. Zdaje się, że głose prasy rosyjskiej bez różnicy odienici politycznych powinny ich o tem przekonać. Jesteście wy, panowie z Łodzi, w cudzym domu, w którym ofiarowano wam gościnność niegdyś z litości, do którego dzisiaj wkradacie się chyłkiem, tajemnie, jak złoczyńcy z zamiarem grabowania gospodarza. Schwytani na gorącym uczynku włożcie, że gospodarz domu, który was przytrzymał, nie ma prawnego tytułu własności. To rzecz inna, a w każdym razie rzecz nie ważna. Pomimo wykrętnych oświadczeń, pomimo pochlebstw wywołanych potrzebą, nawet władza państwowa przekonywa was, że i w państwie rosyjskiem jesteście w cudzym domu. Zapytajcie o to członków komisji, wysłanej dla zbadania przemysłu w Królestwie, którzy oświadczają, że głównym celem ich pracy jest pokolenie tamy zalewowi niemieckiemu.

Dotychczasowa działalność komisji świadczy, w jaki sposób niemożemy — jak zaręcza *Łódzki Zeitung* — szanując prawa tutaj. Istnienie Sosnowice jest jednym wielkiem objechem prawa, w osadzie tej bowiem tylko włościanie mają prawo nabywania gruntu. Tymczasem przedsiębiorcy niemieccy za pomocą różnych wybiegów zakupili znaczne obszary ziemi, na których pozwolili budować i urządzić fabryki. Właściciele, według brzmienia prawa, grunta to powinny im być odebrane i wystawione na sprzedaż, nie obchodząc jednak sprawować takiej katastrofy, komisja wnosi, żeby Sosnowice zamienić na miasto, ale na przyszłość surowo polecił władzom miej-

scowym pilnować ściśle przepisów prawa. Szczegółowe badania członków komisji wykazały, że fabrykanci niemiecy nie zachowują żadnych przepisów, że warunki hygieniczne nie są przestrzegane, że nie ma wcale obowiązkowej pomocy lekarskiej itd. Jak pp. niemiecy „szanując tutaj prawo,“ dowodzą również ta okoliczność, że w wielu fabrykach odmówiono udzielania objaśnień lub pokazania ksiąg i dopiero groźba trza było zmuszać opornych, przyczem okazało się, że wszystkie rachunki i dokumenty znajdują się w Niemczech. Wobec tych faktów komisja samierza wypracować specjalne przepisy, któreby tych „szanujących prawo“ obywateli zmusiły przynajmniej do liczenia się z tem prawem. Ponieważ członkowie komisji wszelostronnie starają się zbadać warunki pokojowego zaboru niemieckiego, zwrócić zapewne uwagę i na te okoliczności, iż istnienie takich pism wsiockoniemieckich, jak np. *Łódzki Zeitung*, opiera się na tem, że wiadomost, z jakiego powodu posiada ona przywilej drukowania ogłoszeń urzędowych. W rzeczywistości nie istnieje żaden przywilej, ale tylko nałóg, datujący się z tych czasów, kiedy *Łódzki Zeitung* była jedynem pismem, wychodzącem w Łodzi i drukowała się w dwóch językach: niemieckim i polskim. Wobec bieżących prądów w polityce rządu, fakt tego rodzaju jest dziwną anomalią, której raz przecie należałoby już polozyć kres.

Na zakończenie tej sprawy dodam, że umiarkowany *Diennik*, nawet po tej wyliczce gazety niemieckiej, wstrzymuje się od polemiki, póki nie dowie się, że jest autorem odepowiad i w czym imieniu przemawia. W czym imieniu — sądzę, że w imieniu wszystkich niemców Łódzkich, którzy oddawać uprawiają tego rodzaju politykę, dla tego chyba nie wiele zależy na tem, kto on jest.

Widocznie niemożemy uzują się u siebie w domu, kiedy na nasz gruncie pressosozują nawet swoje tradycje raub-ritterskie. W każdym prawie zamczku nadrenskim przewodnik pokazuje łech, do którego przywiązana jest legenda o więzionym lub zamorzoneym głodem kochanku córki, siostry czy żony jakiegoś barona. Nasze zamki lub dwory takich podan tragicznych nie mają, chociaż i one były widownią gwałtów, ale innego rodzaju. Otóż w ziemi sandomierskiej, jak donosi *Gazeta radomska*, niedawno osiadły obywatel ziemski, niemiec postanowił na barbarzyńskim gruncie polskim wkręcić podania swojej cywilizacyjnej ojczyzny. Jeszcze w miesiącu kwietnia zginął bez wieści nauczyciel M., którego ów niemiec przyjął przed rokiem do swoich dzieci dla przygotowania ich do szkół tutajszych. Okazuje się teraz, że młodzieńcionie pokochał siostrę swoich uczniów i zapewnio o jej wzajemności, wyznał wszystko rodzicom. Ojciec z oburzeniem przyjął te oświadczenia, widząc zaś nieprzełamany opór w córce, postanowił rozwiązać kochanków. Przewodzącym się wionę wraz z córką wyprowadził za granicę, gubernera zaś zatrzymał, dając mu nawet do zrozumienia, że możenamyśli się przyjmie go za zięcia. W kilka dni później wywóz synów do Warszawy, jednocześnie zniknął nauczyciel, jak mówiono, wyjechał on do swej rodziny w Galicyi. Tymczasem w rzeczywistości M. został upamiętniony jakimś narkotykiem i w takim stanie przeniesiony do piwnicy zupełnie ciemnej, znajdującej się pod lamusem w ogrodzie i w więzieniu tem przepędził blisko trzy miesiące. D. i służa jego również niemiec dotarłszy do więzienia zawiadomili; wołania o pomoc na nie się nie przydały, chłopci bali, chociaż słyszeli głos, dobywający się z pod ziemi, sądzili, że to pokutuje jakiś duch, bo tak zresztą mówił im diabeł. Dopiero wskutek starań matki młodzieńciony xdała się w te sprawę władza policyjna i wykryła ten czyn oburzający. Nieszczę-

śliwą ofiarę wydobyci z ciemnicy w stanie strasznego osłabienia. Dotychczas wiadomo, jak ci miał D., pastwiąc się tak nad młodzieńcem, wykryło to zapewne śledztwo, które trwa jeszcze, conio pozwala ująawnić obecnie wielu szczegółów sprawy.

W średniowieczne czasy przenoszą nas także boje, jakie toczą się dosyć często w powiecie wilejskim, a może i gdzieindziej, ale o tamtych wiadomości nie mamy. Są to zaświeci walki gromad włościańskich z dworami, właściwie najazdy pól i lasów, kończące się zwykle krwawą bitką. Straszna to walka — o ziemię. Objaw ten zaznaczamy tylko, bez możności wytłomaczenia na razie przyczyn jego ogólnych i właściwości miejscowych. Bez wątpienia jest to objaw bardzo znaczący, który dowodzi silnego napięcia sprawy rolnej i tylko w takim znaczeniu może być rozstrząsany. Podobne fakty zdarzają się również i to dosyć często w Królestwie, a pisma codzienne opisują właśnie taki bunt chłopski w gubernii lubelskiej. Włościanie pobili geometrę, rozpedzili strażników ziemskich i dopiero kiedy policja otrzymała posiłki, ulegli. Ostrezych głównych winowajców uwieszono. O tych przywódcach należy tu powiedzieć słów kilka. Praktyka sądowa stwierdza, że odpowiedzialność pada tu zwykle na ludzi najmniej winnych, na tych, którzy właśnie dążą do porozumienia, występują jako delegaci tłumu, przemawiają do władzy i tem zwracają na siebie jej oczy. Dlatego to kroniki sądowe zawierają tyle wyroków uniewinniających w sprawach o zaburzenia chłopskie. Tutaj zresztą znalezioneo nietylko głównych winowajców, ale i główną przyczynę całej sprawy; rozumiemy, że tego ostatniego odkrycia dokonana nie władza siołeczka, ale korespondenci pism, którzy kierując się metodą badań socjologicznych warszawskich, rozstrzygnęli *ad priori*, że jedyną przyczyną zajścia byli ów klasyczny „pokątny doradca.“ Po tem wykryciu źródła nieprawości chłopskich, szanowni socjologowie złożyli sprawę do akt i położyli się spać. Niechaj sobie drzemają spokojnie do czasu, kiedy obudzi ich pomruk zbliżającej się burzy.

Mał nadzieję zresztą, że dobroczynny wpływ cywilizacji oddziałają tymczasem na zmianę obyczajów chłopskich. Wpływ ten nie może podlegać zaprzeczeniu, idzie on wprawdzie nie przez książki, nie przez szkołę, ale przez przykład działalności klas wyższej rozwiniętych. W gubernii radomskiej w dwóch wsiach odrazu znaleźli się tacy naśladowcy przykładów, jakie im dają starsi bracia rodzeni, a zwłaszcza bracia przyrodni („dzieci jednej ziemi“) i podpalili swe chaty, ażeby uzyskać promię asurakcyjny, daleko wyższą, aniżeli wynosiła istotna wartość budowli. Przy tej sposobności splonęły i chaty sąsiednie, ale to trudno, sądzą zmianą nie odbywa się bez ohar.

Czasem jednak zetknięcie się z inteligencją oddziałują na chłopów inaczej. Korespondent nasz z Płocka przytacza taki fakt. Kilku urzędników dzierżawiło pod miastem we wsi Podolozycach polowanie od włościan. Niejaki p. S., przedstawiciel inteligencji, postanowił wydrzeć im takowe, udał się więc chłociaczem na wieś i ujął sobie kilku włościan, obiecując im podniesienie ceny dzierżawnej. Soltsy zwołal gromadę i przedstawił sprawę, wielu włościan skłoniło się już do zerwania poprzedniej ugody, ale w czasie narad wystąpił gospodarz B. człowiek poważny i wygłosił taką przemowę, którą korespondent nasz przesyła, jak zapewnia, w dosłownem brzmieniu: „Moi wy gospodarze. Czy to nie wstyd dla was łazoszyć się na marnych kilkanastu rubli. Zważcie ino sobie, co to musi być za człowiek ten pan, co przychodził do nas, aby swoich podkupić. Ja wam powiadam, choć go nie znam, że to

musi być wielki cygan i dla tego nie radzę wam wchodzić z nim w interes, bo was na pewno okpi. Oddajmy lepiej polowanie dawnym znajomym za darmo, niższymy mieli na jaki krzywy zarobek się łakomic.

Słowa te sprawiły niespodziewany skutek; cała gromada jednogłośnie postanowiła zawiadomić dawnych dzierżawców, że mogą nadal zatrzymać polowanie po dotychczasowej cenie, dla uniknięcia zaś na przyszłość sprzeczek i pokusy, cały ten dochód ma być oddawany proboszczowi na jaki dobry użytek.

— O inteligencję — pyta korespondent — czy w twojej gromadzie prawda i słusność odnosią tak łatwo zwycięstwo?

Mnie w tym przykładzie etyki chłopskiej uderza jeszcze jedna, drobna okoliczność, która oprócz tego że podnosi moralną doniosłość czynu, posiada również i pewne znaczenie społeczne. Włościanin, charakteryzując postępek p. S. rzekł, iż chciał on *swotach* podkupić. Ten zaimak dzierżawczy oznacza, że obłop wyodrębniła inteligencję jako jednostkę zbiorową i że stosując do niej prawa swojej etyki społecznej, wymaga od takiej zbiorowości, ażeby rzuciła się ta zasada solidarności, jaką on rzucił się jeszcze w wielu wypadkach w swój gromadzie.

J. Nieborski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoly. Ministeryum oświecenia zatwierdziło projekt urządzenia w gub. kijowskiej szkół rzemieślniczych, z zapisu hr. Branickiej, w sumie 287,000 rs.

Muzeum rolnictwa i przemysłu wobec wystawy naston, o której wspominalismy, urządza jeszcze drugą — „konfejkę i potrzeb mieszkalnych”. Trudno nas było zrozumieć, co ten dwiświat językowy ma oznaczać.

Popieranie przemysłu krajowego nie zawsze jest możliwem, niedawno np. droga warszawsko-wiedeńska zmuszona była zamówić 500 wagonów w fabrykach zagranicznych, ponieważ różnica w cenie pojadła przez firmy obce i towarzyszywo Lilpop Rau i Loewenstein wynosiła tylko... 237 rs. na wagonie.

Pracownia fizyczna zostanie wkrótce otwarte przy Muzeum przemysłowo-rolniczym.

Wystawa ruchoma obrazów przychodzi do skutku, szkoła jednak, że urządzią ją nie sami malarze, lecz przedsięwzięta, której zamierzają objeżdżać z tą wystawą znaczniejsze miasteczka prowincjonalne.

Wzrósł zboża z Rosji w ciągu lat ostatnich zmniejsza się, największą jednak różnicę przedstawia rok bieżący, w czterech pierwszych miesiącach w porównaniu z rokiem przeszłym wzrósł pszenicy z 48,000,000 pudów spadł na 19,000,000, żyta z 26,000,000 na 14,000,000, jęczmienia z 16,000,000 na 4,000,000, owsa z 13,000,000 na 3,750,000 pudów.

Nowe pisma. P. W. Gruszecki otrzymał pozwolenie na wydawanie miesięcznika, poświęconego geografii i etnografii p. t. *Wiśła*.

— Wychodzić ma w Warszawie *Tygodnik biograficzny*, który zamieszczać ma tylko nekrologi lub życiorysy.

Bibliografia. Dr Józef Rostański: *Botanika szkolna dla klas niższych*. Kraków.

Botanika dla klas wyższych. Kraków.

— Dominiak Maślakiewicz: *Wskazówki dla zawierających akta rejestralne i prywatne (dla wszystkich czytelników uprzedzić piasek Gazety Wyprzedzającej)*.

Handel dynamitem. Rząd angielski w obawie nowych zamachów irlandzkich wyznaczył komisję dla zbadania wyrobu środków wybuchowych i handlu nim. Z doniesień jej okazuje się, że w Anglii 21,268 000 sprzedaje dynamit i inne podobne produkty, których pewna część używa się do przyrządzania... lekarstw. Główne jednak składy i fabryki znajdują się w Ameryce i należą do m-ra Holgate'a, serdecznego przyjaciela wszystkich rewolucjonistów. Ciekawym

bardzo jest fakt, że z kupionych bomb mały bardzo procent tylko był dotychczas użyty, co się stało z resztą — niewiadomo.

Trzeci już majątek polski w Poznaniu przeszedł w ręce rządu pruskiego, tym razem sprzedaż ma znacznie jeszcze donioślejsze, ponieważ majątek, o którym mowa, leży w powiecie krobakim, gdzie przy wyborach kandydat polski zwyciężył z wielką trudnością.

Ludność polska w państwie pruskim wynosi, według danych niemieckich 2,450,000 głów, mianowicie w Poznaniu 890,000, Prusach zachodnich 470,000, wschodnich — 350,000 i na Śląsku — 740,000; cyfry te są przynajmniej o 1/4 zmniejszone w porównaniu z rzeczywistymi.

Generał Janek, który dał powód do rozruchów ulicznych w Pessce, karyerę swoją wojskową zawdzięcza temu, że w ciągu lat kilku pełnił obowiązki szpiega w gub. południowo zachodnich, ślując dla porzoku jako jeńców w dobach przywrotnych.

Liszt, którego nekrologi w pismach naszych zobrzy gorącym patryotą, jak się teraz okazuje, nie umiał wcale mówić po węgiersku.

Cukrownictwo. Komisja dla zbadania stanu cukrownictwa, obradująca w Kijowie, ukochowała się czystością. Za obowiązkiem ograniczeniem produkcji oświadczyła się znaczna liczba fabryk, ale wszystkie prawie cukrownie mniejsze są temu przeciwnie. Pomimo że za granicę wywieziono 7 1/2 mil. pudów cukru, ceny nie podniosły się wcale.

Ludność gubernii lubelskiej z końcem 1886 r. wynosiła według danych urzędowych 935,497 osób, w tym liczbie katolików 586,723; prawosławnych 180,780, ewangelików 24,600, żydów 133,391 i innych wynosi 3 osób. Na stosunek tych cyfr zwrócić powinna uwagę pewna ciekawość prasy rosyjskiej.

Zmarli. Hieronim Bokowski, tłumacz *Starożytności słowiańskich* Szafarjaka.

OFIARY.

Dla studentów Uniwersytetu warszawskiego. Jako kara od I. F. s. 1.

Dla rozporządzenia redakcji. Panie H. A. J. K. r. 6; od U. D. N. s. 20.

Ogłoszenia.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadana jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwakojących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczysty świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacja. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaccapka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) **rs. 2;** dla abonentów naszych, **rs. 1 k. 50.**

Zwracający się z zadaniami bezpośrednio do naszej Administracji kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Wielki medal srebrny.	LAKIERY I FARBY	Cemilki francuski i gratis.
	polecają	
	ZAKŁADY PRZEMYSŁO-CHIMICZNE	
W. KARPINSKI & W. LEPPERT		
w Warszawie, Elektoralna 37.		

21-24

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielewski Piotr dr. Antorki Polsko-wieku XIX, studium literacko-obywatelskie, osobne zacięcia portretami, str. 641 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginalnego angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światłotek. Książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w osobnej oprawie, z drzeworytami w tekście rs. 1 kop. 80.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki) Szkice i Obrazy, tomów cztery z portretem autora rs. 5.

W osobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Smoleński Władysław. Drobna Słacheta w Królestwie Polskiem, studium etnograficzno-społeczne kop. 60.

Stanisław Krąpczyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Biurowo i ekspedycja Spółki Nakładowej: Warszawa, Złota 23.

W Administracji Prawdy nabyć można:

J. Brandesa

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).

Tom V, zawierający Szkołę romantyczną we Francji, (z wydawnictwa Spółki Nakładowej) rs. 2.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICZY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincję upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorem „PRAWDY” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Redaktor i Wydawca, dr. Śl. A. Świętochowski.